Nr. 15 (1215). Warszawa, 27 Marca (9 Kwietnia) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ:

POLITYKA.

Mowa Curzona.

Telegraf rozniósł po świecie słowa Curzona, wicekróla Indyj, wypowiedziane w przeszłym tygodniu w Kalkucie przy jakiejś uroczystości, która wobec treści samej mowy może być dla nas obojętną. Widoczna dążność przemówienia i do Anglików i do świata, a w szczególności do Rosyi, przejmuje nawskróś ten czyn krasomówczy dostojnika Anglii. Narodowi swemu chciał wicekról dać pokrzepienie, że na straży jego największej kolonii stoi rozumna, świadoma swych zadań i ciągle czujna polityka; świat, a w szczególności Rosyę, pragnął ostrzedz, że energia państwowa W. Brytanii w Indyach nie ustaje na ich granicach geograficznych i ogarnia jeszcze wszystkie krainy przyległe, dające dostęp do wielkiego cesarstwa wschodniego. Panowanie wewnątrz pod postacią władzy wypromienia się i na zewnątrz pod postacią wpływów politycznych. Nikt ani w Tybecie, ani w Afganistanie lub Persyi nie zyska żadnej takiej korzyści, któraby zagrażała nietykalności granic indyjskich i ułatwiała ich przebycie dla dostania się do ciekawego wnętrza. Jest to zatem dogmat monopolu politycznego na pograniczach; Anglia chce nim opasać panowanie w Indyach, jakby wałem ochronnym.

Sama natura — prawił lord—obwarowała Indye od północy i na obu jej krańcach zachodnim i wschodnim olbrzymiemi górami. Posiadanie Afganistanu, wyrażające się w niezaprzeczonym dotychczas protektoracie, uzupełnia niedostateczność warowni w nizinie Indusu; zresztą same góry, niebotyczne góry wytwarzają przyrodzoną twierdzę, której zdobycie przedstawia niesłychane trudności. Całe jednak to dobrodziejstwo, które natura wyświadczyła Indyom, wtedy tylko może mieć prawdziwą, polityczną i strategiczną wagę, jeżeli krainy przyległe z drugiej strony gór nie zostają pod wpływem nieprzyjaznym Anglii, wpływ taki bowiem mógłby się zczasem wykształcić w militarne opanowanie bram, prowadzących do wnętrza, a wtedy i obrona jej od wewnątrz znalazłaby się w warunkach niepomyślnych: cały wspaniały dar natury byłby wtedy zmarnowany, a panowanie angielskie doznałoby wstrząśnienia u samych podstaw. Dlatego przed ową naturalną twierdzą trzeba wznieść szańce z politycznego wpływu, wytworzyć jakby pogranicza polityczne przez zagarnięcie pod swą rozporządzalność wszystkich krain, sąsiadujących z Indyami.

Innemi słowy: twierdza jest, ale nie jest niezdobytą, choć ją zbudowała tak wielka, jak przyroda potęga; zresztą przyroda nie myślała o panowaniu angielskiem w Indyach, a w jej tektonicznym geniuszu tkwi na całej kuli ziemskiej zasada, że gdzie jest pasmo górskie, tam muszą być i przełęcze. Aby dostęp do nich utrudnić, aby się na nagłe zaskoczenie nie narazić, potrzeba panować nad tymi obszarami, przez które do gór dostąpić można. Panowanie to byłoby najlepszem w swej postaci doskonałej podboju i obsadzenia wojskiem; ale gdy to jest niemożliwem, niechże się spełnia przynajmniej pod postacią politycznego monopolu, i taki też monopol Anglia albo już ma, albo do niego dąży. Z tego dążenia wypłynęła cała misya Younghusbanda i Macdonalda do Tybetu, to dążenie urzeczywistniło się już w protektoracie nad Afganistanem, a ma się urzeczywistnić w Persyi, potrzebnej znowu dla osłony Afganistanu, jak Afganistan potrzebny jest dla osłony Indyj, a Siam zachodnio-północny dla Burmy. Całość tego obrazu obwarowań angielskich, przyrodzonych, strategicznych i politycznych, wytwarza systemat kół współśrodkowych, zakreślanych coraz to większym promieniem, o coraz mniejszym wykładniku rzeczywistej władzy a coraz większym dyplomatycznych zabiegów i intryg. Gdy spojrzymy krytycznie na całą tę geometryę wicekrólewską, spostrzeżemy przedewszystkiem niesłychaną jej złożoność, a potem zaraz nasunie się nam pytanie: czy rzeczywiście doprowadzi ona Anglię do celu, czy zapewni jej utrzymanie się w Indyach?

Dyplomacya, powołana do działania na owych pograniczach politycznych, mająca trzymać straż przed Indyami samemi, wiele umie i może, ale tylko dopóty, dopóki nie świśnie jej kula nad uchem; wtedy zabiera całą swą mądrość, dowcip i moc — i ucieka jak najdalej, zostawiając zadanie obrony interesów lub życia samego sile brutalnej — żołnierzowi. Każde stanowisko zajęte czy to pod władzę doskonałą, czy pod niedoskonały wpływ musi być bronionem militarnie; dyplomata wtedy tylko coś znaczy, jeśli z po za niego błyskają bagnety żołnierza, a im tych bagnetów więcej, tam i mądrość dyplomaty wyższa, słowo jego poważniejsze i poważniej słuchane. Zagadnienie wpływu politycznego jest zawsze zagadnieniem siły, wpływ ten przynieść zdolnej. Żadne sofizmata i zapały tego naturalnego porządku rzeczy nie zmienią. Na pograniczach tak samo jak w Indyach samych Anglia musi panować siłą; potrzebuje jej stosunkowo mniej, ale ją mieć musi na owe pograniczne cele.

Panować politycznie a skutecznie w Persyi, Afganistanie czy Tybecie można tylko wtedy, jeśli się do sił niezbędnych w Indyach doda nowe, potrzebne dla tej polityki oszańcowywania się przed Indyami. I owa też twierdza naturalna bez przyczynienia się sztuki ludzkiej, bez obwarowań sztucznych — mimo wspaniałego obrazu łańcuchów niebotycznych — nic na wiele się przyda. Można bronić dostępu od zewnątrz przez protektoraty — jest to zapewne coś, ale rzeczywistą obroną może być tylko obwarowanie przełęczy i bronienie ich siłami nie natury, jeno człowieka zorganizowanego wojskowo. Wreszcie wicekról zamilczał jedną bardzo ważną okoliczność: nieprzyjaciel może natrzeć na Indye jednocześnie i od zewnątrz wojskiem i od wewnątrz polityką. Rozrzucone proklamacye mogą podburzyć ludność, a wtedy wszystkie piękne widzenia twierdz naturalnych i politycznych pograniczy — rozwieją się w mgły dziecinne. Rzeczywistą obronę dla Indyj Anglia znaleźć może tylko w swej potędze militarnej: militaryzm jest dla niej koniecznością nieprzepartą, jest wyrokiem, który musi się na niej spełnić, jak spełnia się nad wszystkiemi wielkiemi mocarstwami świata. Bez miliona żołnierzy lądowych wszystko będzie tylko romansem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przyszło już do pierwszego starcia się na lądzie, dotychczasowe bowiem drobne potyczki w północnej Korei mogły mieć znaczenie tylko dla telegrafistów, nie dla strategików. Pierwsze też to starcie się wojsk rosyjskich z japońskiemi, już rzeczywiste, jest również tylko potyczką oddziału rozpoznawczego z czołem straży przedniej, posuwającej się od Piöng-Jangu ku Jalu, już po opanowaniu Andżyu, drogą na pomorzu. Wypadek stał się d. 28 z. m. pod Czeng-czyu. Sześć sotni kozaków amurskich natknęło się na jedną kompanię gwardyi i jeden szwadron japoński, stojące w samem mieście, które otacza mur wysoki. Kozacy usadowiwszy się na wzgórzu, ostrzeliwali z karabinków Japończyków, ci odpowiadali im ogniem również karabinowym. Gdy z południa, z Kasanu, przybyły Japończykom posiłki najpierw w jeździe, później i w piechocie, kozacy się cofnęli na północ, według buletynu gen. Miszczenki umieściwszy na czele kolumny odwrotowej swych rannych. Cała rozprawa trwała około półtorej godziny.

Telegram donosi o pojawieniu się naraz z wylądowań dawniejszych wielkich mas japońskich w północnej Korei od wschodu i zachodu; zsumowane te siły dałyby jakie 200 tysięcy wojska, ruszającego już na Mandżuryę południową. Doniesienie to wszakże nie jest dość poważnem; niewątpliwie jednak nowo wysadzone korpusy musiały podnieść siłę wojsk na linii Czemulpo-Gensan w przybliżeniu do 125,000.

Wiceadmirał Togo ukazał się przed Portem Artura d. 31 z. m., działań jednak żadnych nie przedsięwziął.

Sejm japoński d. 30 z. m. ukończył swe czynności. Wszystkie prawie podatki popodwyższano i z rządowego planu skarbowego usunięto tylko monopol solny, jako dotkliwy dla ludu.

Namiestnik Dalekiego Wschodu ogłosił Niuczuang wraz z portem Inkau nad zatoką Peczyli, za leżący po za obwodem neutralnym, którego granice zachodnie jednocześnie oznaczył, aby je dyplomacya następnie i do wiadomości rządów podała. W porcie stoi 6,000 wojska rosyjskiego; wejście do niego będzie zagrodzone, a ruch handlowy wstrzymany.

Gen. Kuropatkin stanął główną kwaterą w Liao-jangu.

Anglicy, posuwając się ku Lhassie, wymordowali połowę oddziału, jakoby z 1,500 Tybetańczyków, prawie bezbronnych, bo staremi jednorurkami strzelających i tak nieprzygotowanych na morderczy ogień, że raport angielski przyrównywa ich do stada owiec — język postępowej Ludzkości. Stała się ta rzeź w końcu marca. Teraz wojsko pod Macdonaldem, wraz z dyplomacyą pod Younghusbandem, korzystając z wiosny, będzie mogło posunąć się ku Lhassie i zapewne jej nie uszanuje. Brodrick w parlamencie mówi tylko o zniewoleniu Dalaj lamy do wykonywania umów, bez najmniejszego zamiaru zajęcia; ale depesza kalkucka używa wyrażenia „dopóki interesa Anglii nie będą zaspokojone,“ dopóty trwać będą działania przeciw Tybetowi: zostawia to dość miejsca i na zdobycie Lhassy i na zajęcie pogranicza i na protektorat nad całą ogromną, ale słabą krainą. Komentarz świeży wicekróla Indyj, Curzona, nad zadaniami polityki angielskiej w Azyi popiera tylko przewidywanie takiego wdarcia się do Tybetu. Wicekról za niezbędne uważa trzymanie przeciwników zdala od Persyi, Afganistanu, Tybetu, Siamu, nawet od Arabii. Teraz właśnie na porządku dziennym Tybet.

Rząd francuski przeprowadził mocyę Rabiera przez Izbę. Zrzekł się 9 ostatnich artykułów prawa, zakazującego kongregacyom wszelkiego nauczania i poprzestał na prawie do rozporządzeń administracyjnych z mocy ustaw dawniejszych, jak np. jeszcze z r. 1825. Burza przeciw Pelletanowi z d. 29 i 30 z. m, wskutek zdrady Doumera a słabości Etienne'a zakończyła się wyznaczeniem komisyi parlamentarnej, która ma zbadać stan floty od r. 1896, oraz uchwaleniem zaufania dla rządu (318 gł. przeciw 256) na wniosek Maujeana. Do maja Izby świętują.

Spotkanie się w Neapolu nie było bezinteresownem. Ces. Wilhelm zapośredniczył był zgodę między Włochami a Austryą o zachodnią część półwyspu Bałkańskiego, i właśnie owocem tego pośrednictwa uraczył swego gospodarza podczas odwiedzin. Włochy zyskują ekspektatywę na Albanię, z północnych jej skrawków dostanie się coś i Czarnogórze. Rzecz prosta, że wobec dyplomacyi obie strony wypierają się nawet zamysłów „okupacyi,“ a cóż dopiero nabytków terytoryalnych. Austrya weźmie wilajet Skoplijski.

Anglia ma już bardzo ostre prawo przeciwko imigracyi.

W Berlinie ma rezydować nuncyusz.

W Białogrodzie król odprawił dwóch głównych adjutantów swoich, Maszyna i Popowicza, dierwszego zrobił naczelnikiem sztabu, drugiego dowódcą dywizyi — a jednocześnie dał dymisyę wszystkim innym adjutantom, i winnym królobójstwa i niewinnym. Dyplomaci wracają już do Białogrodu.

Turcya opiera się Rosyi i Austryi; przyjmuje tylko 25 oficerów do żandarmeryi, zamiast 60 żądanych.

Niemców Hererowie srodze sieką i wycinają. I w Kamerunie biedni Murzyni poczuli się ludźmi.



Z Dalekiego Wschodu.

IIUJUTSU.

Tajemnica istoty japońskiej.

Na gruncie kolegium rządzącego w Tokio wznosi się budynek zupełnie różniący się od innych. Możnaby go wziąć za zwykłą, japońską budowlę, gdyby nie wielkie w oknach szyby szklane, zamiast powszechnie używanych papierowych. Długi, rozłożysty, jednopiętrowy, zawiera on wewnątrz jedną tylko olbrzymią salę, której podniesioną podłogę

JAN ANDRUSZEWSKI.

*

WIDMA.

(Dokończenie).

Zbudziła się matka, wstaje, narzuca błękitną, spłowiałą spódnicę, nie okrywa nagich ramion — podchodzi do wózka, bierze dziecko na ręce, tuli je, huśta, pieści, całuje.

Ono płacze i płacze.

A jęk ten zda się idzie przez szyby zamarzłe, w poprzek ulicy, na dachy sąsiednich domów, na ich sterczące kominy, na oszronione białym puchem drzewa, w jasną noc gwiezdną, i dalej — dalej...

Ozwały się koty po strychach, jęły mu wtórzyć cicho zrazu, podobnie do kwilenia dziecka, potem coraz głośniej, rozpaczniej, jakby ich oczy, widzące w nocy, dojrzały coś strasznego. Opodal w podwórzu zawył pies, zaszczekał, i znów wyje w noc.

Za nim drugi, dziesiąty.

W ich głosach niespokojnych, to przeciągle zawodzących, to gwałtownie urywanych, drga odczucie czegoś złego — odpędzanie jakichś mar.

Po całem przedmieściu naszczekują, wyją psy, miauczą koty po dachach...

. . . .

Dziecko płacze.

Tuli je jasnowłosa kobieta, na rękach huśta, całuje.

Czego ono płacze? Czego? Niepokoi się cała jej istota, pyta raz po raz dziecka, siebie, męża, nocy...

Nie płakał nigdy tak długo.

Czego ono chce?

Przewinęła je, daje mu pić.

Nie chce, rączkami odpycha flaszeczkę.

— No czego płacze? Czego chce? Ty moje, ty drogie, skarbie mój złoty, świecie cały...

A ono nie płacze już, ale zanosi się, krztusi, pieje, aż sine, bez tchu prawie, milknie chwilami, by nową skargą, coraz boleśniejszą, noc rozedrzeć...

. . . .

— Władku, okryj się! mówi kobieta do męża — otworzę okno, to ten karbol go dusi... Ubranie twoje nim przesiąkło... Zapomniałam przewietrzyć pokój.

— Mnie tam nic nie będzie — odpowiada jej cichy głos suchotnika — osłoń je go... A włóż co i na siebie, tak nie możnaprzeziębisz się...

Ona kładzie rozpłakane dziecko pod kołderkę, otula je swoim futrzanym żakietem, na siebie narzuciła chustkę, podchodzi do męża, przykrywa go surdutem.

Otworzyła okno.

Zimna fala zalała pokój.

Z lodowem światłem księżyca płynie świeża, ostra woń powietrza, przesycone go mrozem...

Tam dalej, za oknem, miasto spowite w sen i mgły.

W szronowych oparach barwami tęczy płoną szeregi latarni.

Wozy się nie toczą, ludzie śpią, wszystko spoczywa.

pokrywają gęsto maty. Ten dom nosi japońską nazwę „Zuihokwan“ co znaczy — „Halla naszej świętej ziemi“, literami chińskiemi u wejścia wymalowaną na tablicach przez jednego z książąt domu cesarskiego. Wewnętrzne jego urządzenie niczem się nie odznacza: na ścianach wiszą tylko dwa obrazy i tabliczka. Jeden z obrazów przedstawia słynny „biały związek tygrysi“ siedmiu walecznych młodzieńców, którzy z miłości dla ojczyzny dobrowolnie podczas wojny domowej na śmierć poszli. Drugi jest portretem olejnym bardzo starego, bardzo lubianego profesora języka chińskiego Akiazuki z Aidzu — który był niepospolitym wojownikiem za czasów swej młodości — wówczas, kiedy to bardziej jeszcze, niż dziś, wojownik znaczyło dżentleman. Na tabliczce hrabia Katsu wypisał chinskiemi literami: „Głęboka wiedza jest najlepszą ze wszystkich posiadłości.“ Jakiej jednak wiedzy nabywa się w tej olbrzymiej, zimnej, pustej przestrzeni? — Nazywają ją Iiujutsu. A co to jest „Iiujutsu?“

Muszę przyznać, że ja sam praktycznie nic o tem nie wiem. Studya można rozpocząć bardzo wcześnie i prowadzić długo, a pomimo to zdobyć zaledwie słabe pojęcie o „Iiujutsu.“ Aby osiągnąć wyższy stopień uzdolnienia w tej nauce trzeba przez lat siedm nieustannie ćwiczyć się w niej i w dodatku być obdarzonym niezwykłemi zdolnościami wrodzonemi. Nie mogę dać szczegółowych objaśnień o „Iiujutsu,“ muszę poprzestać na ogólnem określeniu jej zasad.

„Iiujutsu“ jest to starożytna umiejętność Samurajów walczenia bez broni. Niewtajemniczonemu walka ta wydaje się „pasowaniem się.“ Wszedłszy przypadkiem podczas ćwiczeń „iiujutsu“ do Zuikokuza widzi się dziesięciu lub dwunastu smukłych, bosych i nagich młodzieńców powalających jeden drugiego na maty w najzupełniejszem milczeniu, bez jednego słowa, bez uśmiechu na twarzy. Takiego bezwzględnego spokoju wymaga przedewszystkiem „iiujutsu.“ Ale ten spokój właśnie największe na patrzących robi wrażenie.

Znawca lub szermierz zawodowy zauważyłby prócz tego, że młodzi zapaśnicy bardzo bacznie używają swej siły, że każde pchnięcie, uderzenie, ujęcie jest równie niebezpieczne, jak skuteczne. Pomimo tego całe ich postępowanie nazwałby raczej niebezpieczną zabawą i skończył zapewne radą wprowadzenia prawideł zapasów zachodnich. W istocie, to co się tu odbywa, jest czemś daleko niebezpieczniejszem, niż się na pozór wydaje. „Iiujutsu“ nie jest bynajmniej umiejętnością popisową — jest to sztuka samoobrony w szczególnem znaczeniu tego słowa. Ten kto ją posiada, w jednej chwili niewyszkolonego przeciwnika niezdolnym do walki uczyni. Jednym ruchem ręki wywichnie mu ramię, naderwie ścięgno, złamie kość — pozornie bez najmniejszego wysiłku. Działa on jak anatom raczej, niż jak atleta i zna ujęcia, które zabijają błyskawicznie Lecz tej wiedzy wolno udzielać tylko niektórym pod przysięgą i w takich warunkach, że wszelkie nadużycie staje się niemożebnem. Obyczaj wymaga bowiem, aby dopuszczani do niej byli wyłącznie ludzie nieskazitelnego charakteru i nieograniczonego panowania nad sobą.

Najciekaszym jednak rysem „iiujutsu,“ jest zupełne wyrzeczenie się zapaśnika korzystania z własnej siły. Jakże on więc postępuje? Wyzyskuje siłę swego przeciwnika i tem go pokonywa. Cała mądrość „iiujutsu“ na tej umiejętności polega, a im silniejszy jest przeciwnik, tem gorzej dla niego. Pamiętam moje zdziwienie, gdy raz jeden z najznakomitszych nauczycieli „iiujustu“ powiedział mi, że trudno idzie mu praca z uczniem, którego ja uważałem za najlepszego w całej klasie...“ zbyt niestety liczy na siłę swoich muskułów“ — objaśnił mię. „Iiujutsu“ znaczy: „przez ustąpienie — zwyciężyć.“

Niepodobna mi objaśnić wam jakiej metody używają w tej walce; lecz każdy wie, co to jest boksowanie, a choć porównanie niezupełnie jest właściwe, albowiem bokser stara się całą siłą odeprzeć atak, gdy przeciwnik w „iiujutsu“ zupełnie odwrotnie postępuje, podobieństwo na tem jednak polega, że tak tu, jak tam, ten się przedewszystkiem naraża, kto mniej nad sobą panuje. Atakowany „iiujutsu“ nie odpiera pchnięć, uderzeń, poddaje im się niby, lecz podstępnie doprowadza przeciwnika swego do tego, że ten w rozmachu sam sobie wybija ramię ze stawu, łamie rękę lub kark skręca.

Z tego widzi czytelnik, że nadzwyczajność „iiujutsu“ polega nie na zręczności w zapasach, lecz na odrębnej, wyłącznie wschodniej idei, która w tej umiejętności wyraziła się w sposób specyalny. Czy jakikolwiek mózg zachodni wpadłby na pomysł przeciwstawienie sile, nie siły, lecz takiego postępowanie wobec przeciwnika by go własną jego zapalczywością doprowadzić do zguby? Nic podobnego napewno nie przyszłoby do głowy żadnemu Europejczykowi. Umysł zachodni działa po linii prostej, gdy wschodni lubuje się w nadzwyczajnych zwrotach i skrętach.

A jakiż to piękny symbol ducha ujarzmienie brutalnej siły! „Iiujutsu“ jest nietylko sztukę samoobrony, lecz jednocześnie systemem filozoficznym, ekonomicznym, etycznym — gdyż zapomniałem wam powiedzieć, że większość nauk „iiujutsu“ odznacza się przedziwną moralnością — a nadewszystko jest wyrazem geniuszu rasy, o którym potęgi, marzące o podbicie Wschodu, bardzo niedostateczne mają jeszcze wyobrażenie.

Przed dwudziestu pięciu laty mogli cudzoziemcy przepowiadać z pozorną słusznością, że Japończy przyjmą nietylko strój zachodni lecz i zwyczaje, nietylko nasze środki szybkiej komunikacyi, lecz i nasz styl w budownictwie, nietylko nasz przemysł i naszą wiedzę praktyczną, lecz i naszą metafizykę, nasze dogmaty. Tak, wielu z tych, którzy odwiedzali Japonią było przekonania, że kraj ten zaludni się zachodnimi kolonistami, użyczy doskonałej, nadzwyczajnemi przywilejami zabezpieczonej, lokaty dla zachodnich kapitałów, niezbędnych dla jego rozwoju ekonomicznego — że wreszcie może edyktem cesarskim ogłosi swe przystąpienie do chrześcijaństwa.

Ale te wszystkie przewidywania wyrastały na gruncie absolutnej nieznajomości rasy, na zupełnem zapoznaniu wielkich zdolności tego ludu — jego przezorności i głęboko wkorzenionego poczucia niezależności. Nikt nie pomyślał, że Japonia we wszystkiem co czyni, według „iiujutsu“ postępuje. Na Zachodzie zresztą wówczas o „iiujutsu“ nie słyszano jeszcze!

A jednak we wszystkiem jest „iiujutsu“!

Przyjęli Japończycy system militarny, oparty na najbardziej wypróbowanych zasadach francuskiej i niemieckiej wojskowości i stworzyli u siebie siłę wojenną 250,000, z doskonałą artyleryą. Tak samo powstała ich flota z najpiękniejszymi w całym świecie krążownikami, tak statki przewozowe, wzorowane na najlepszych francuskich i angielskich parowcach. Założyli oni doki według francuskich wskazówek, zbudowali lub kupili statki przeznaczone do przewożenia produktów na Koreę, Manilę, do Meksyku lub Indyj. W części dla potrzeb handlowych, w części dla celów wojskowych ułożyli juz blizko dwutysięczno-milową linię drogi żelaznej; przy pomocy Amerykanów i Anglików zaprowadzili u siebie najtańszo i najlepiej funkcyonujące telegraf i pocztę. Wznoszą takie latarnie morskie, że ich wybrzeża posiadają najlepsze w całym świecie oświetlenie, a ich obsługa sygnałowa nie ustępuje w niczem amerykańskiej. Od Ameryki wzięli również telefony i najlepszy system oświetlenia elektrycznego. Przeprowadzili reorganizacyę szkół publicznych po dokładnem zbadaniu najwzorowszych zakładów

---

W tę noc, w tę biel szronową bije teraz płacz dziecka żałosną skargą. Wtórzy mu wycie psów, przesiąkłe przeczuciem czegoś strasznego— przecięte chwilami wrzaskiem kotów, niby hyen czających się przed wrotami cmentarza.

Wrzaski te od czasu do czasu rosną, wzbierają, wybuchają gniewnem parskaniem lub przeraźliwym, rozpacznym krzykiem, jakby mordowanych dzieci.

I cisza:

Tylko księżyc płynie nad dachy, tylko w szronowych oparach barwami tęcz płoną szeregi latarni.

Mróz zwolniał nad ranem; wiosenny juz, łagodny zapach przesycał mgły...

. . . .

Dziecko płacze i płacze.

Czemu? Tłucze się po mózgu chorego lekarza.

Czyżby naprawdę które z tych widm?
Nie! — mówi rozsądek.
Halucynacye wzrokowe...
Wytwór podnieconych nerwów...
Fantazya chorobliwa...

— Pewnie mam trochę gorączki... Trzeba sobie zmierzyć temperaturę.

Wyciąga rękę w stronę komody, gdzie obok maszynki spirytusowej, na której grzeje się mleko, pomiędzy flaszeczką dziecka i szpilkami do włosów, błyszczy stalowa pochewka termometru.

Wyciągnął rękę i nagle doznał jakby pchnięcia rozpalonem żelazem w serce. Może... Może to on przywlókł do domu którąś z tych mar?

One takie przyczepne, wcisną się wszędzie — w ubranie, we włosy, w futro...

Przychodzi mu na myśl, że był przed paru dniami na oddziale chorób zakaźnych...

Ospa, tyfus, szkarlatyna— wszystko tam jest.

Nie bawił tam długo, przeszedł tylko z kolegą po salach, ale to wystarczy.

Nie trzeba czasem więcej...

Inna jeszcze zmora przewija mu się przez mózg.

Przypomina sobie, że przed kilku dniami wrócił do domu, smutniejszy jakoś, niż zwykle, przybity, zgnębiony.

„Tato“ — uśmiecha się dziecko, wyciąga rączki...

Wówczas to porwał je, cisnął do piersi, całował po rączkach, po twarzy, w usteczka, długo, długo całował...

A może on, suchotnik, zaraził je wtenczas gruźlicą — lodem ścięła mu się myśl...

Leży na poduszkach blady, jak świt zimowy nad mgłami miasta.

Wzrok jego zmęczony patrzy z trwogą na te dwie istoty, w które się wcielił cały jego świat wewnętrzny, całe morze jego uczuć.

Patrzy na złote włosy kobiety, rozsypane płaszczem po szarej chustce, na wyciągnięte z pod niej śnieżne ramiona.

Teraz ramiona te zamykają okno, zasłaniają je firanką, rozpięte na tle świtu w drogowskazy jego jasnych dróg, jakby się wyciągały do światła o pomoc.

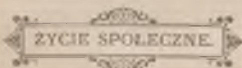
Lecz wnet opadły, jak przebłysk skrzydeł anielskich, skąd płacz dziecka idzie skargą nieutuloną...

Cała wielka, potężna Miłość słońc, światów, przestrzeni, ziemi zdaje się spływać w te białe, ciepłe ręce — rzeźbi się ich wieńcem splecionym nad rankiem życia wątłej dzieciny.

w Ameryce, Niemczech i Francyi, stosując ich doświadczenia do potrzeb swego kraju. Tak samo urządzili sobie policyę na wzór francuskiej. Dla swych kopalń, młynów zużytkowali nasze maszyny, w fabrykach prochu, na kolejach żelaznych — naszych fachowców, aby ich potem zastąpić swymi.

Z naszego przemysłu, naszych umiejętności praktycznych, naszych zdobyczy ekonomicznych, finansowych i prawnych przyswoili sobie tylko rzeczy najlepsze, najbardziej ich potrzebom odpowiadające. A w tym wyborze kierowali się oni nie popędem naśladowczym, lecz naogół biorąc, głównie poczuciem tego, co miało przysporzyć im siły. Na tej drodze posunęli się już tak daleko, że mogą dziś obyć się bez obcych nauczycieli i zupełnie sami użytkować i wyzyskiwać wszystkie źródła swego bogactwa narodowego i samopomocy. Ale stroju zachodniego, urządzeń mieszkaniowych, architektury ani religii nie przyjęli, gdyż to nie wzmocnić, lecz osłabić mogło ich siłę. Pomimo kolei żelaznych, wielkich statków przewozowych, telegrafu, telefonów, urządzeń pocztowych, pomimo artyleryi i składów broni, uniwersytetów i szkół technicznych, jest dziś Japonia tak samo *wschodnią*, jak była przed tysiącem lat. Nie utraciwszy nic ze swej indywidualności, umiała ona obcą siłę zużytkować i wyzyskać do ostatnich granic.

Lafcadio Hearn.



POMOC.

O pewnej porze roku pojawia się w prasie stały głos: na wpisy! Pisma warszawskie rozpatrują pytanie, jak zaradzić złemu, jak zapobiedz mu na przyszłość? W tem wzruszeniu się sumienia dziennikarskiego przebija pewien rys ściśle związany z psychologią przejawów zapobiegliwości społecznej. Ten rys znamienny dostrzedz można nie w treści artykułów z tej racyi pisanych, lecz w sposobie traktowania rzeczy.

W całym stosunku do kwestyi uderza przedewszystkiem stała krótkowzroczność. Mało kto zwraca uwagę na głębsze przyczyny tragicznego często położenia uczącej się młodzieży. Nizka płaca za korepetycye, trudność znalezienia zajęcia itd. są to oddzielne fakty, łatwo spostrzegalne, lecz po za nimi jest ogólna, łącząca je w jedno przyczyna. Nie będę o niej mówił, gdyż obecnie idzie mi o scharakteryzowanie stosunku ogółu do młodzieży. W poszczególnem ujęciu tej kwestyi dziennikarze często, pomimo niezaprzeczonych dobrych chęci, zamiast pomagać, psują sprawę.

Weźmy przykład z niedawnej przeszłości. Paru studentów założyło wspólny sklep, przyczem prawdopodobnie, gdyż nie znam tej kwestyi bliżej, pewna ich grupa znalazła zajęcie. Cóż naturalniejszego? Ludzie zarabiają, pracując. Tymczasem niektóre dzienniki rozpoczęły hymny pochwalne. Sklep stał się niemal zwiastunem polepszenia całokształtu życia ekonomicznego. Ta poczciwa, zbyt nawet poczciwa reklama, niejednego przejęła niesmakiem i ośmieszyła rzecz samą. Tylu ludzi pracuje w sklepach i do tego tak ciężko, a nikomu jeszcze prasa nie urządzała takiej owacyi.

Weźmy inny przykład. Proponują różne zajęcia dla studentów. Jedno z pism przywołało nawet na pomoc Amerykę, ów raj ziemski w mniemaniu warszawskich reporterów. Lecz nie dodało, że restaurator amerykański przyjmuje na kelnerów studentów nie jako członków pewnej grupy uprzywilejowanej, lecz jako ludzi potrzebujących pracy i nic go to nie obchodzi, czy kandydat na posadę jest studentem, czy nie. W radach dawanych młodzieży tyle jest nietaktu, brutalności, obojętności na zapatrywanie samych zainteresowanych. W XX wieku np. tłomaczą im, że praca kasyera w cukierni nie hańbi. Lecz panowie, student wam nie powie, że „ta praca hańbi," on wie, że jest liczny zastęp kobiet, które nietylko nie uważają tego zajęcia za upokorzenie, lecz czują się szczęśliwe, jeśli mogą na tej „posadzie" zarobić kilkanaście lub więcej rubli miesięcznie, w ten sposób ratując od głodu nietylko siebie same. Na nawoływania, aby wszędzie dawano pierwszeństwo mundurom, odpowie on wam także: „Jestem biedny i często głodny, lecz nie należę do najbardziej upośledzonych, do tych, dla których nędza nie jest stanem przejściowym, lecz stałym. Chcę pracy, lecz nie jako uprzywilejowany, faworyzowany i wolę przymierać z głodu, niż odbierać zajęcie innym." Każdy ubogi student tak odpowie. Tylko że na to nie zwraca się uwagi. Zwykła to u nas rzecz: chwycenie sprawy publicznej za rożek. Poco zgłębiać, docierać do jądra? i tak pójdzie... A z tem, że student może być niezadowolony z takiej opieki, niema się co liczyć; słowo mówione nie może walczyć ze słowem pisanem.

Odezwy do pracodawców mają jeszcze inną przykrą stronę. Chyba nigdzie nie jest tak rozpowszechnionem mniemanie, że dając „miejsce," wyrządza się biorącemu grzeczność lub łaskę. W tem przekonaniu utrwala zwierzchników okoliczność, że na najlichsze nawet zajęcie znajduje się wielu kandydatów. Wskutek tego każdy przyjęty powinien swój wybór uważać za niezwykły fawor. Powszechne u nas wymaganie od podwładnych nietylko określonej umową pracy, lecz i—szacunku, wdzięczności oraz tym podobnych objawów „uczucia," komplikuje się jeszcze w stosunku pracodawców do pracobiorców, polecanych przez prasę. Przeciętnemu jegomościowi tak łatwo wmówić, że spełnia czyn obywatelski, płacąc 7 rb. za korepetycyę na przedpieklu. Inny jednak będzie się krępował opieką i weźmie sobie takiego, z kim nie będzie potrzebował się „ceremoniować."

Rozpatrywanie materyalnego położenia uczącej się młodzieży nasuwa ściśle z nią związane myśli o stosunku jej do tych, co mają w ręku prasę, naukę, literaturę itd. Młodzież jest jedną z najtrwalszych nadziei każdego społeczeństwa. Ci, co sterani, zmęczeni ciężkim trudem boju życiowego, przeszli już część swej drogi, patrzą z miłością i wiarą na nadchodzące zastępy młodych, więc silnych zapałem i rozmachem. Widzą w nich przyszłość, urzeczywistnienie tego, o czem sami tylko marzyli, przyobleczenie w czyn myśli, ukrytych w oddalonej głębi ludzkiego ducha. A ten skarb, te najdroższe nadzieje trzeba uposażyć, uzbroić, na bój życia we wszelki oręż zaopatrzyć, aby sił im do walki nie zbrakło. Rdzą przegryzającą najsilniejsze zasoby ducha i ciała jest nędza. Gasi ona niejedno wschodzące słońce, niejedną moc obala i tłoczy ku ziemi!

Uchronić młodzieży od nędzy nie możemy, tak jak nie możemy dziś wogóle znieść nędzy samej. Lecz czyż tylko nędza materyalna grozi młodzieży?.. Czy oczy nasze nie widzą innej, niebezpieczniejszej — nędzy duchowej?..

Niewątpliwie, zbyt ciężkie warunki położenia materyalnego tamują rozwój młodego umysłu, wyczerpują przewcześnie jeszcze niezahartowany organizm. Nędza wygryza z mózgu najwznioślejsze myśli, upadla częstokroć najzdolniejsze jednostki. Ciągła obawa, ciągła niepewność denerwuje i kruszy nawet hartowne indywidualności. Przytem troska o zarobek wypełnia zbyt wiele czasu z krzywdą dla pracy umysłowej.

Lecz to nietylko da się powiedzieć o młodzieży uczącej się. U nas wogóle tem słowem „młodzież" określa się wychowańców

---

Czego ono płacze?— modlą się rozchylone lękiem usta kobiety, pytają zaciśnięte śmiertelnym strachem ramiona.

Chustka z nich opadła, snop jasnych włosów rozsypał się po szyi źdźbłami złotych promieni.

Niespokojne, trwożne wyglądają nad białem czołem, z przedskroni malowanych w sine żyłki — na prężące się w konwulsyach płaczu ciałko dziecięce— na jego siną twarzyczkę...

. . . .

Nagle szarpnął się chory, jakby coś targnęło całą jego istotą, podniósł się w poduszkach.

Oto znowu widzi, jak z kątów pokoju, z odzieży, z surduta, którym go żona przykryła, wychodzą te same mary, jak pełzną gdzie wianek śnieżnych ramion kobiecych owinął dziecko płaczące.

Widzi, jak zdradnie, cichymi kroki zbliżają się, kędy w świetle czerwonej lampki, przez złote promienie włosów, rysuje się żywy posąg najwyższej jego miłości.

Ostrożnie, na palcach kościanych obchodzą tulącą skarb swój kobietę — wyglądają z za jej pleców, trupiemi głowami zdają się dotykać jej skroni.

Są — są wszystkie, wieje od nich woń karbolu, trzymają się ścisłym łańcuchem, podają sobie ręce.

Wyraźnie je poznaje...

Ta śliska, zimna, o szczękach dzwoniących dreszczem — zimnica...

A tamta płonąca, z twarzą w centki, jak próchno w nocy cała w ogniu, widmożar — to szkarlatyna.

Teraz wywija się ospa, czarna, straszna, w krostach, z dziurami po ciele.

I sina, z oczami wysadzonemi na wierzch, o piersiach wyschłych, bezmlecznych, nienawidząca dzieci, o rękach zakrzywionych, jakby niemi dusić chciała — dyfterya.

I ta z ceglastymi wypiekami, pokryta lepkim potem, skurczona od kaszlu, słaniająca się, by paść upiorem na nową ofiarę — gruźlica.

Jedna przez drugą, wygłodzone, chciwe żeru śmierci, jak hyeny pchają się do łupu...

Z łkaniem rozsadzającem chorą, wyschłą pierś, odsłoniętą z nocnej koszuli, wyciągnął ojciec-mąż ręce tam, gdzie w krwawej smudze lampki, w aureoli jasnych włosów kobiecych tuli się jego świat.

Usiadł na łóżku— patrzy: nie widać nic, tylko trwogą pochylone lica, tylko rozszerzone śmiertelnym niepokojem źrenice, cisnące daremnie w rozpaczy najwyższej miłości rozpłakane ciągle dziecko...

. . . .

Patrzy, a na dnie jego duszy bije dzwon, ten, którym witają w cmentarnej bramie płaczące brzozy, żałobne cyprysy, pokornie na grobach pochylone bratki, kołyszącą się po nad tłumem nową trumnę. Białą, srebrem nabijaną...

Taką niewielką, o czystym całunku wystającym z pod wieka, jak pościel kolebki świeżo zasłanej...

Trumnę dziecka...

W głębi duszy ojca bije cmentarny dzwon:

— Które to z tych widm?

Które? Które? Które?

Tak bije dzwon

różnych zakładów naukowych. A przecież oni nie tworzą jakiejś odrębnej grupy społecznej, są tylko luźnem połączeniem najróżnorodniejszych żywiołów, podlegających społecznemu różnicowaniu. O młodzieży po za szkolnej u nas bardzo rzadko się wspomina. A jednak ona żyje, istnieje i daje dzielnych pracowników. Wśród niej znaleźć można niejedno gorące serce i niejeden zdolny umysł. Rzucona na twardy bruk życia, pracuje ciężko w biurach, kantorach, sklepach, warsztatach; a pomimo to po dniu ciężkiej pracy znajduje jeszcze czas ślęczeć nad książką, myśleć działać i czuć głębiej nieraz i szczerzej od niejednego studenta. Ta młodzież, o którą się nikt nie troszczy, którą się nikt nie zajmuje, cierpi częstokroć jeszcze większą nędzę, niż tamta, bo głód fizyczny i głód światła. Oba są ogniwem łączącem ją z tymi, co noszą mundury, w jedną grupę tych, którzy nadchodzą.

Każdy organizm potrzebuje do swego istnienia pewnej ilości powietrza; tak samo rozwijająca się indywidualność potrzebuje do swego wzrost czystej, wolnej od chorobotwórczych miazmatów atmosfery. Od otoczenia bierze formę dla ukształtowania swej treści; rozwój jej zależy od warunków, w jakich istnieje. Czy obecna atmosfera, wśród której wzrasta młodzież — to przyszłe społeczeństwo — sprzyja jej rozwojowi? czy dostarcza jej świeżego powietrza, usuwa zaduch?

Osnuta siecią komunałów i płytkich ogólników, żyje ona wśród ludzi, którzy nie rozumieją jej potrzeb, łyka wciąż trujące miazmaty, rozsiewane przez nizkie, upadłe dusze, potyka się ciągle o przeszkody, przez ojców rzucane jej pod nogi, nie mogąc dać szczerego wyrazu skrytym siłom dojrzewającego swego ducha, wtłaczana bezustannie w stare schematy, nadane i utrzymywane przez tradycyę. Czy i tej nędzy młodych, lękliwie stojących na progu żywota i szukających drogi, społeczeństwo pomódz nie może?

Niepodobna im narzucać wierzeń i haseł, lecz można zapewnić swobodę i niepodległość rozwoju duchowego — to najlepsza pomoc. Wtenczas oni sami znajdą drogę i stworzą hasła.

Człowiek świadomy istotnej treści życia, potrzeb swego czasu i potrzeb ducha ludzkiego, powie wstępującym na próg przyszłości: „My, cośmy już doszli do kresu rozwoju sił naszych i wstąpili w stan czynu, mówimy wam: Bądźcie silni! Śmiejcie myśleć i czuć — aż do odległej konsekwencyi! Bądźcie wiernymi samym sobie! Kultura — przejaw powszechnego ruchu, zdobycze swe kładzie przed wami. Wy macie powiedzieć nowe słowo, dołączyć swój trud do pracy tych, co przeszli lub przechodzą. Zadanie swe spełnicie tylko wtedy, kiedy nie zdradzicie własnej duszy, nie skłamiecie jej najgłębszej treści. W was jest siła, z waszego ducha wykrzesać macie ogień i dobyć młot, co wykuje wielki dzwon, mający zabrzmieć nowym tonem w ogólnej muzyce wszechświata. Życie to ruch, a wyście jednem z ogniw powszechnego postępu. Ufni w swą młodość, nie przystawajcie po drodze. Idźcie wciąż przed siebie. Przyszłość do was należy!..“

br.

Kongres niemieckich uniwersytetów ludowych w Austryi.

W Anglii, gdzie liberalnemi tradycyami uświęcona inicyatywa prywatna, w dziedzinie oświaty przekształciła szybko luźne wykłady, urządzane przy stowarzyszeniach zawodowych, w poważne instytucye naukowe, przeniósł się uniwersytet ludowy na kontynent, skoro tylko rozwój gospodarczy i polityczny stworzył i tutaj warunki, sprzyjające demokratyzacyi wiedzy.

Stało się to dopiero w czasach nowszych i najnowszych. Przywiązana do roli, niesamowolna i gospodarczo pozbawiona wszelkiego wpływu na bieg spraw publicznych, ludność pracująca ubiegłych wieków obywała się zupełnie bez nauki — bo nauka nie jest potrzebna w pracy, której formy przechodzą puścizną z pokolenia w pokolenie — a po za pracą dla tych ludzi istniało tylko życie wegetacyjne, duchowa drzemka.

Praca rzemieślnicza, ochraniana przywilejami cechowymi, zapewniającymi w wiekach średnich, w obrębie murów miejskich byt spokojny choć skromny, któremu odpowiadało poczucie godności majsterskiej i wagi, wymagała już posiadania pewnych wiadomości elementarnych czytania, pisania rachowania — lecz szła wygodnie w parze z szkółką początkową i po za nią też nie sięgała. Nierozległe horyzonty pracowników pewnych, lokalnych rynków, skąd wykluczone było wszelkie współzawodnictwo z zewnątrz i gdzie kończyło się nietylko życie gospodarcze, ale co ważniejsza społeczne i polityczne, nie były przyćmione żadną tęsknotą za tajnikami przyszłości lub chęcią zdarcia zasłony z przeszłości. Syte, leniwe zadowolenie, niechcące niczego utracić, niechcące niczego zaryzykować nawet za nadzieję podwojenia posiadania, przechodzi obojętnie koło wiedzy, od której wyników nie spodziewa się pomocy, a obawia wstrząśnienia, jako od potęgi groźnej — bo nowej.

Więc dopiero, gdy wskutek uwłaszczenia włościan oraz powstania przemysłu fabrycznego, miasta zaludniły się nowymi mieszkańcami o pełnej odpowiedzialności gospodarczej za byt rodziny i własny, o zarobku tak niepewnym i trudnym, że przeżycie dnia staje się zagadnieniem wymagającem nietylko energii mięśniowej, ale i myślowej, gdy równoczesne powstanie nowożytnych państw, kruszące miejskie mury, stwarza prawa i obowiązki obywatelskie— mogła wiedza stać się potrzebą życiową szerokich warstw ludowych. Nie utrzymanie wiekowego dziedzictwa, gospodarczego, prawnego, a z nim i politycznego, ale zdobycie nowej własności na każdem polu stanowi treść ich dążeń — dlatego też szukają walki i sprzymierzeńców. Przyszłość jest pragnieniem ich obecnego życia, zaś wiara w rozwój koniecznym czynnikiem ich istnienia—dlatego ciekawie pytają, badają i chcą jak najwięcej wiedzieć.

A dzieje się to dziwnie. Niema tu tego powolnego dojrzewania wśród nauki połączonej z rozrywką, której zamożni rodzice dostarczają dzieciom klas wyższych. Nie! Warstwy żyjące z pracy fizycznej, wcześnie przez nędzę w zarobkowe życie wciągnięte, dojrzewają zwolna wśród znoju i właśnie dopiero dojrzałość duchowa prowadzi je do nauki, w tym wieku mniej więcej, w którym młodzież uniwersytecka zrywa z nią dla życia praktycznego i teoryę zamienia na chleb. Dopiero dojrzałość duchowa pozwala im odczuć ten brak materyału myślowego, niedostarczonego im przez szkołę w młodzieńczym okresie życia — idą więc po niego z tęsknotą i powagą. Wskutek warunków swego bytu wcześnie zdobywają zrozumienie znaczenia nauki, jako doradcy i obrońcy—jej potrzeby, jako broni w walce o byt z przyrodą i urządzeniami społecznemi, a nawet z samotnością, której grozi nuda. Cenią jej wartość, bo zdołali odczuć jej brak. Powstaje w nich przeto gorące umiłowanie dla wiedzy, skłonne do ofiar, które niezawsze się spotyka wśród młodzieży klas zamożniejszych, witanej na progu życia przez naukę jeszcze nieupragnioną, jeszcze niepożądaną.

Stwierdziły to rozprawy zjazdu delegatów niemieckich uniwersytetów ludowych, który się odbył z końcem marca b. r. w Wiedniu. Cały szereg wybitnych profesorów, obecnie czas swój dzielących między wykłady uniwersyteckie a ludowe, wyraził się z najwyższem uznaniem o słuchaczach ze sfer po za uniwersyteckich, o ich pilności, pojętności i głębokiem ujęciu przedmiotu, wynikającem np. przy wykładach prawniczych, technicznych, z bogatego doświadczenia życiowego, które podogólne prawdy podsuwa natychmiast znane szczegóły. Zgodnie też zaznaczono, że najsilniejsze zainteresowanie wzbudzają wśród słuchaczów kursów ludowych tematy przyrodnicze i filozoficzne lub zdające się zapowiadać bezpośredni związek z ogólnym poglądem na świat, na istotę bytu.

Dojrzały słuchacz uniwersytetów ludowych nie pragnie wiadomości encyklopedycznych, które w długim szeregu lat mógłby dopiero mozolną pracą myślową złożyć w całość lub wyzyskać przy pewnych studyach cząstkowych, lecz zwraca się do wiedzy po rozwiązanie dręczących go zagadek, po istotną karm dla duszy, której głodu najcięższa nawet praca fizyczna, mechaniczna i monotonna, nie może zaspokoić. Prof. Deissmann z Heidelbergu, delegat uniwersytetu ludowego, sąsiedniego Mannheimu, założonego bezpośrednio na prośbę związku stowarzyszeń zawodowych, opowiadał, że właśnie wykłady o darwinizmie, i inne z zakresu historyi religii i kultury, wciągnięte w program wbrew życzeniu klerykalnego odłamu ludności, miały największe powodzenie. To samo potwierdzili i inni, a prof. Kühne, z Lipska, w zwięzły sposób zaznaczył, *że robotnik szuka pomocy w znalezieniu światopoglądu.*

Tam, gdzie zarząd uniwersytetów ludowych porozumiewa się z przedstawicielami warstw pracujących, w układaniu programów, wpływ ich nietylko nie obniża poziomu wykładów, lecz owszem nadaje im charakter bardzo poważny, choć wskutek przewagi tematów ogólnych mocno różniący się od właściwych szkół wyższych. I jedno jeszcze poznanie zawdzięczają profesorowie uniwersyteccy pomocy stowarzyszeń robotniczych przy urządzaniu kursów ludowych: że nienależy dawać nauki zbyt tanio. Właśnie przedstawiciele warstw pracujących domagają się ustanowienia opłaty od kursów, która nie przekraczając możności, byłaby przecież połączona dla niezamożnego słuchacza z pewną, choćby drobną ofiarą. Ludność, która pracuje ciężko na życie, skłonna jest lekceważyć każdą darmową zdobycz, a płacąc za wykłady, uczęszcza na nie regularniej i dobitniej powagę ich odczuwa.

Środki materyalne czerpią uniwersytety ludowe z opłat członków, dobrowolnych datków, zasiłków korporacyjnych, miejskich lub państwowych. W Szwajcaryi (delegat prof. Herkner) uniwersytet ludowy zasilany jest z dochodu monopolu wódczanego. Dziesięć procent czystego tego dochodu przeznaczyła ustawa na krzewienie ruchu antialkoholicznego, że zaś publiczne, każdemu łatwo dostępne wykłady i szerzona przez nie oświata niezaprzeczenie powstrzymują uczęszczanie do gospód — przyznano uniwersytetom ludowym w Szwajcaryi zapomogę państwową z tego funduszu. W Austryi, zwłaszcza w Wiedniu, wyższe kursa ludowe, których działalność obejmuje i prowincyę, przedstawiają typy najrozmaitsze. Utrzymywany przeważnie z funduszów robotniczych wiedeński „dom ludowy“ (Volksheim), w którego wydziale zasiadają profesorowie i robotnicy, daje możność systematycznego kształcenia się w poszczególnych przedmiotach, w językach, historyi, naukach przyrodniczych, utrzymuje laboratorya i seminarya. „Stowarzyszenie oświaty ludowej,“ urządzające luźne wykłady i bezpłatne koncerty, ma charakter mie-

szczańsko-filantropijny, właściwy zaś uniwersytet ludowy jest kierowany wyłącznie przez grono profesorów uniwersytetu wiedeńskiego i utrzymywany przeważnie z zasiłków państwowych. Głównym i najbardziej zasłużonym jego organizatorem jest prof. Ludo Hartmann.

Ciekawy przyczynek do zrozumienia psychologii słuchaczów kursów ludowych stanowi urządzony w śród nich, w Wiedniu, wywiad, którego wyniki przedłożono zjazdowi. Na 1635 słuchaczy wypełniło kwestyonaryusz 498. Na pytanie, jakie korzyści ogólnej natury daje, wedle ich doświadczenia, uniwersytet ludowy, słuchacze ze sfer robotniczych dali odpowiedź: „zaspakaja pragnienie wiedzy,“ „wskazuje co i jak czytać,“ „rozszerza horyzont myślowy,“ „kształci umysł.“ Pewien czeladnik malarski odpowiedział: „moje dotychczasowe wiadomości z fizyki i geologii, podobne były do luźnie rozrzuconych kartek, które teraz po przejściu paru kursów leżą w duszy złożone i oprawne, dając prawdziwą przyjemność, spełniają swe właściwe zadanie, umożliwiając mi jasny pogląd.“ Pomocnik blacharski dał odpowiedź: skorzystałem ogromnie pod względem ogólnego wykształcenia, wiele rzeczy, z których dawniej nie mogłem sobie zdać sprawy, przedstawia mi się teraz jasno i zrozumiale. „Wewnętrzne zadowolenie,“ „szybsze, bystrzejsze myślenie,“ „pogłębienie światopoglądu,“ oto w rozmaitych waryantach stwierdzone przez robotniczych słuchaczów korzyści z kursów uniwersyteckich. W odpowiedziach słuchaczów z kół pomocników handlowych, prywatnych urzędników i tym podobnie, przeważał znów inny motyw. Zaznaczali oni przedewszystkiem, że „wiedzieć coś i módz mówić o tem w towarzystwie jest zawsze przyjemnie.“ „w towarzystwie nieraz można korzystać z tego, co się nauczyło,“ „można się z większą łatwością obracać w lepszem towarzystwie,“ „ma się o czem mówić“ itd. Przeważać tu się zdawała zadowolona miłość własna i próżność.

Ostatni dzień zjazdu poświęcony był sprawie kursów wyższych, wakacyjnych dla nauczycieli ludowych, które dopełnić mają szczupłej w zakresie nauki seminaryów nauczycielskich i utrzymać styczność szkoły ludowej i jej kierowników z wiedzą. Kursy te, nowość lat ostatnich, weszły w życie staraniem kół uniwersyteckich, profesorów, którzy swojej młodszej braci w zawodzie pedagogicznym postanowili przyjść z duchową i moralną pomocą. W Niemczech i we Francyi kursa te urządzane są letnią porą w miastach uniwersyteckich, stanowiąc niejako osobną grupę wykładów. W Austryi powzięto myśl utworzenia kursów nauczycielskich w roku 1900, nie spodziewając się wielkiego powodzenia, jak to widać było z referatu prof. Kasera. Ale zapał z jakim nauczyciele nowość tę powitali i liczne bardzo grono uczestników wykazało jawnie, jak wielką jest wśród tych kół chęć nauki i jak żywem odczuwanie zerwania z możebnością dalszego kształcenia się, które dotychczas z chwilą objęcia obowiązków stawało się przeznaczeniem nauczyciela ludowego — zwłaszcza wysłanego na prowincyę. Kursa austryackie dla nauczycieli urządzane są w małych, ładnie położonych, a niecieszących się zbytnim napływem letników, miasteczkach alpejskich, które przyjezdnym zapewniają tani i przyjemny pobyt. Według zapewnień referenta, naturalna pomoc alpejskiej przyrody szczodrze wynagradza brak środków pomocniczych, których gdzieindziej dostarcza bliskość uniwersytetu. Wycieczki naukowe, które tego roku wcielono też do planu wiedeńskiego uniwersytetu ludowego, stanowią bardzo ważną część programu kursów nauczycielskich.

Słuchacze, którzy po paru tygodniach zamieniają się znowu z uczniów w nauczycieli, pogłębiają tutaj w codziennem z przyrodą i profesorami, ludźmi mogącymi całe życie naukowo pracować, swój pogląd na świat i wiedzę i tak wzbogaceni powracają znowu ochoczo do swych obowiązków. Co zdobyli mogą dalej przekazać i zastosować w zawodzie swoim, tak trudnym, że niepodobna może być doń należycie przygotowanym... W Niemczech i Austryi zawiązały się obecnie komitety mające zapewnić kursom nauczycielskim ciągłość i trwałość. Biorą w nich udział przeważnie już sami nauczyciele ludowi.

Urządzane po rozmaitych stowarzyszeniach luźne odczyty, uniwersytety ludowe, kursa nauczycielskie są objawem rwania się do nauki tych warstw społecznych, których konieczność zarobkowania wcześnie z ław szkolnych usunęła. Państwo i społeczeństwo na każdym kroku nakładają na nie obowiązki i ciężary, wobec których braki swe z łatwością odczuć mogą — bo nawet prawa w nieudolnem ręku stają się tępą bronią — życie na każdym kroku roztacza przed nimi swe zagadki, przyroda swe cuda — którym się dziwią, bo warunki ich bytu uczą ich dziwić się i pytać — łatwo więc zrozumieć dlaczego profesorowie uniwersyteccy, uczestnicy zjazdu z taką sympatyą mówią o swych nowych, dobrowolnych obowiązkach i nowych słuchaczach. Niejeden uczony, który bał się styczności z „nieprzygotowanymi“ słuchaczami, bo tradycya nakazywała mu w świadectwie dojrzałości dopatrywać się koniecznego dowodu „przygotowania“, nauczył się teraz cenić powagę i to przygotowanie *życiowe*, jakie znalazł w kołach pracujących. Gorliwość widoczna tutaj w słuchaniu, organizowaniu wykładów, w przyswajaniu sobie wiedzy, w której słuchacze kursów ludowych widzą przebłysk a nawet urzeczywistnienie lepszej przyszłości, sprawi może, że ci, którzy tutaj tę wiedzę przynoszą pojmą całość tych pragnień, które wypełniają duszę ich słuchaczy. A wtedy zetknięcie się wiedzy z ludem przyniesie korzyść — obu stronom.

H. G.

Przeciw prostytucyi.

II *).

Prostytucya w wiekach średnich. — Walka z nią w kantonie Zurychskim. — Stan domów publicznych i ich mieszkanek. — Zapatrywania policyi berneńskiej. Program walki. — „Towarzystwo dla podniesienia obyczajności.

Wobec wielkiego znaczenia, jakie ma walka z nierządem dla powszechnych interesów hygienicznych i moralnych, w szczególności zaś dla naszego społeczeństwa, któremu rozwielmożniona prostytucya przynosi niemałą szkodę, sądzimy, że czytelników naszych zainteresuje przejrzenie szczegółów, dotyczących przebiegu sprawy, której ostatni epizod przedstawiony został w artykule poprzednim **). Dodajemy też trochę wiadomości z historyi stanu rzeczy w Szwajcaryi i w Niemczech.

Już w początku XIV w. znajdujemy ślady istnienia „domów kobiecych“ w Zurichu, następnie i w innych miastach Szwajcaryi. W owe czasy książęta świeccy i duchowni dawali równie zły przykład pod względem nierządu, jak i starszyzna miast. Dochody z domów kobiecych były bardzo znaczne i czasami rozdawane jako lennictwo. Na sejmach i koncyliach często bywało więcej, niż tysiąc dziewek, mnóstwo ich uczestniczyło też w Wojnach krzyżowych. Dla książąt, przybywających do miast, urządzano świetnie na koszt miasta domy kobiece i posyłano na spotkanie dziewki ubrane w wieńce z kwiatów. W pewne dni roku urzędy miejskie wydawały w takich domach wesołe uczty z muzyką. Działo się tak w Szwajcaryi i w Niemczech. Z energicznych, choć bezowocnych przeciwdziałań poznajemy, że nienaturalne żądze coraz bardziej wzrastały, pomimo wielkiej łatwości w stosunkach płciowych. Wymownem świadectwem tego są czasy Minnezengerów z ich zwyrodniałem życiem płciowem. Rada miejska w Ulm postanowiła nie dopuszczać do domów rozpusty chłopców w wieku 11—14 lat, a gdyby się tam zjawili, wypędzać rózgami. Nie znano wstydu pod względem prostytucyi. Pewien poseł rady frankfurckiej podał do kasy miejskiej w rachunku swych wydatków także koszta odwiedzenia domu kobiecego w Kolonii.

W niektórych miejscach postępowano konsekwentniej, niż dzisiaj, obdarzając dziewki, ofiarujące swe zdrowie „na dobro miasta,“ prawem obywatelstwa i urządzając dla nich specyalne kasy chorych. Wiele klasztorów w wiekach średnich było rozsadnikami rozpusty. W Bazylei 1498 r. wydano rozporządzenie: „Kto we dnie lub w nocy pójdzie do męzkiego lub żeńskiego klasztoru i będzie tam popełniał grzeszne uczynki, zapłaci 10 złotych kary.“ Rada miejska w Nördlingen postawiła w regulaminie domu publicznego, aby duchowni nie pozostawali w nim przez noc całą. Po zamknięciu klasztoru Klarysek w Norymberdze 1526 r. część mniszek została przeniesiona do domów publicznych. Być może, że w tych stosunkach grał rolę brak możności wyżywienia się i zajęcia pracą oraz zła wola sfer rządzących. Prozelityzm reformacyi wpłynął na razie powściągająco na prostytucyę, lecz wkrótce znowu się ona wzmogła. Czasy Ludwika XIV i Wielkiej Rewolucyi francuskiej nie mogły oczywiście wywołać polepszenia się obyczajów. Dopiero w XIX w. rządy poczęły silniej ścieśniać i ograniczać prostytucyę.

Kodeks karny kantonu zurychskiego z 1835 r. obostrzył przepisy przeciw stręczycielstwu, lecz te się okazały niedostatecznymi. W końcu sześćdziesiątych lat rozpierało się w mieście 11 domów publicznych. Zmiany zaprowadzone pod tym względem w nowym kodeksie z 1870 r. też nie doprowadziły do pożądanego rezultatu, tem bardziej, że nie pociągnięto pod przestępstwo lub występek przemysłowego zajmowania się prostytucya. Nadzór nad nią pozostawiono policyi i zarządom miejskim, które wydały przepisy o kontroli dziewek. Między innemi był niezbyt przestrzegany, że dziewczyny publiczne powinny dbać o to, aby odwiedzający je mężczyźni zostali zbadani „przed ich istotnem wejściem.“ W siedemdziesiątych latach istniało w Zurychu pięć domów publicznych, nadzorowanych przez władze, i wiele innych nieoficyalnych. W jednym takim, chociaż znanym powszechnie domu, znajdującym się obok kościoła, w oknie ukazywały się nagie dziewki, napół obnażone odprowadzały swych gości śród białego dnia na ulicę. Właściciele tego rodzaju domów uważali się za uprzywilejowanych, ponieważ płacili podatek dochodowy, obliczony od sumy dochodu 6—15 tys. fr. Stanowisko ich wzmocniło się jeszcze przez względność niższych organów policyi, których trudne położenie materyalne było wyzyskiwane wszelkimi możliwymi sposobami przy pomocy podarków, ugoszczeń itp. Wsku-

*) Treść niniejszego artykułu zaczerpnięta jest z nast. książek: „Die Gefahren der Prostitution und ihre gesetzliche Bekämpfung, mit besonderer Berücksichtigung der zürcherischen Verhältnisse. Gutachten des Sanitätsrates,“ Zürich, 1891, str. 247. — „Die Regelung der Prostitutionsfrage mit besonderer Berücksichtigung zürcherischen Verhältnisse. Entgegnung auf „Die Gefahren...“ 2-te Auflage. Zürich, 1982, str. 92.

**) *Prawda*, nr. 7, str. 79 z r. b.

tek tego złożono radzie miejskiej w 1872 r. petycyę, podpisaną przez proboszcza pomienionego kościoła i przez znaczną liczbę obywateli, żądając zamknięcia domów publicznych w całem mieście. Rada miejska przychyliła się do tego żądania, znosząc tolerancyę dla tych domów w 1873 r. Między motywami tego rozporządzenia znajdujemy następujące słowa:

„Sam już fakt, że tolerowane domy znane są w mieście, że zwracana jest na nie uwaga publiczności, a osobliwie ciekawość młodych, przedstawia zło moralne, gdyż zamąca pojęcia młodzieży i może się wydawać, że w tych domach odbywa się coś dozwolonego." „Organy policyi, wchodząc w styczność ze stręczycielami, zawierają z nimi mimowoli bliższe stosunki i z natury rzeczy nie mogą z należytą stanowczością zwalczać nietolerowanej rozpusty, gdy całkiem toż samo obowiązani są popierać w postaci tolerowanej. Policya może skutecznie zwalczać zło tylko wówczas, gdy staje w stosunku wrogim do całego tego przemysłu." „Latwość korzystania z nierządu tworzy dla młodzieży i wojska silną przynętę i pokusę, gdy zaś nietolerowanie prostytucyi utrudni dostęp do niej, fakt, że mogą się spotkać z nieprzyjemnościami (zetknięcie z policyą) i z niebezpieczeństwem lub szkodą (kłótnia, wyzyskanie itp.), będzie powstrzymywać i zastraszać. Ochrona prophylaktyczna domów publicznych przeciw zakażeniu chorobą jest minimalną w stosunku do krzywdy fizycznej i moralnej, jaką w każdym wypadku przynoszą, i minimalną w stosunku do niebezpieczeństwa zarażenia się po za domami publicznymi, ponieważ tam, gdzie te domy kwitną, panoszy się zmysłowość, a wskutek tego nierząd wszelkiego rodzaju, podczas gdy zniesienie ich ułatwia walkę z nierządem ogólnym, jak to stwierdza sprawozdanie urzędowe Frankfurtu. Wiadomo, że domy publiczne są ogniskami występku, rozsadnikami prostytucyi, miejscem rozkoszy zmysłów, ponieważ dla prostego zadowolenia popędu płciowego zawsze znajdzie się dosyć sposobności."

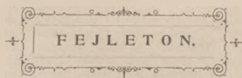
Zamknięcie domów publicznych z pozostawieniem prostytucyi pojedynczej nie przyniosło jednak oczekiwanych korzyści, a to z tego powodu, że działalność policyi, zamiast być jednocześnie wzmocnioną, została osłabioną przez zapatrywanie Rady, iż „wmieszanie się policyi ma być ograniczonem tylko do tych wypadków, gdy spokój publiczny zostanie zakłócony, albo gdy przedłożone zostaną uzasadnione skargi sąsiadów." Działalność urzędów była tak opieszałą, że nawet nie wszystkie, tylko trzy domy zostały zamknięte. W 5 miesięcy po wydaniu tego rozporządzenia 49 lekarzy miasta Zurychu zwróciło się z petycyą do Rady rządzącej kantonu o ponowne otworzenie domów publicznych z zaprowadzoną ścisłą kontrolą. Wskutek tego zwołano konferencyę przedstawicieli gmin podmiejskich i Rada sanitarna kantonu wydała w 1875 r. „Instrukcyę o tolerowaniu domów publicznych i o nadzorze nad nimi." W gminach podmiejskich pozostawiono domy, lecz zarząd samego miasta oparł się tej instrukcyi, nie zgadzając się na tolerancyę w samem mieście, ale nie przedsięwziął skutecznych środków walki z nierządem. Do odrzucenia instrukcyi miał prawo na podstawie § 122 kodeksu karnego, który w sprawach stręczycielstwa przyznaje całkowitą kompetencyę radom gminnym. Ciekawym jest fakt, że prezes pewnej gminy podmiejskiej był właścicielem domu publicznego.

W 1882 r. sąd okręgowy stwierdził przy okoliczności pewnej sprawy, że „istnieje cały szereg domów publicznych z wiedzą rady miejskiej i że prowadzi się osobna księga rajfurów, można więc mówić o milczącej tolerancyi tych domów ze strony policyi; że stosownie do przyjętego w 1873 roku prawa gminnego rada miasta powinna wiedzieć natychmiast o powstaniu nowego takiego domu i czynić przeciw niemu należne kroki." „Należy albo postawić domy pod ścisłą kontrolą, albo też tępić stręczycielstwo wszelkimi środkami."

Wreszcie w 1888 r. opinia społeczeństwa, widząc opieszałość sfer rządzących, poruszyła się w celu wywarcia nacisku na rząd. Dążenie to zostało poparte przez wypadek, który wywarł bardzo przygnębiające wrażenie. Kilku piętnastoletnich uczniów wydalono ze szkół za to, że korzystając z ułatwienia, jakiego rząd dostarczał przez tolerowanie domów publicznych, oddawali się tam rozpuście. Bliższe badanie wykazało, że rozpowszechnionem było uczęszczanie niedorosłej młodzieży do domów publicznych i do knajp tegoż rodzaju. W czerwcu 1888 r. przedłożono Radzie rządzącej kantonu dwie niezależne od siebie petycye; jedna z nich, podpisana przez 6,570 mężczyzn, żądała zniesienia tolerancyi dla domów publicznych i przedsięwzięcia środków przeciw rozszerzaniu literatury bezwstydnej; druga petycya, podpisana przez 10,960 kobiet, żądała całkowitego zniesienia domów publ. i surowego karania stręczycieli, ich agentów i wogóle wszelkich osobników popierających prostytucyę, niedozwalania zawodowego zajmowania się prostytucyą, ani też otrzymywania na to rządowego zezwolenia, biletów itp. Władze zażądały od Rady sanitarnej orzeczenia w tej sprawie. Rada sanitarna wydelegowała komisyę, złożoną z dwóch lekarzy i powierzyła jej gruntowne zbadanie sprawy prostytucyi zarówno w kantonie, jak w całej Szwajcaryi i za granicą. Po upływie trzech lat komisya zakończyła swą pracę i złożyła sprawozdanie, które zostało wydrukowane jako „Orzeczenie Rady sanitarnej."

(C. d. n.).

A. Wróblewski.



FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Z chwili.

Niezliczone a daremnie żebrzące o litość nasze potrzeby społeczne z zazdrością i żalem przypatrywały się stołom wielkanocnym. Tyle nadmiaru i zbytku! Co wystarczyłoby dla całej gminy, to miała zjeść jedna rodzina. Żadna też nie zjadła, a wiele rozchorowało się. Taki śliczny zwyczaj! Chociażbyś mizeraku sto razy umarł w moich oczach z głodu, nie dam ci ani kęsa, bo sam muszę swój żołądek przeładować. Trochę to przypomina owych poczciwców z niższych stopni kultury, którzy głodzą się przez całe miesiące, a gdy dopadną zabitego rena, to jedzą go póty, aż zaczną pękać z przesytu. To ilość — a jakość! Ci włożyli w „święcone" miesięczną pensyę, a tamci — skarb nieobmarzony przez biedaka! Bo przecież umiemy zbytkować. Podobno żaden minister pruski nie dał jeszcze swoim gościom zbyt drogiego kawioru, a „grand seigneur" hr. Hohenlohe częstował ich kiełbaskami parowemi. Na przyjęciach wieczornych ministra Podbielskiego są tylko takie mięsa, jakich mu dostarczają „poczciwe zwierzęta w jego folwarku." Śmiejmy się z tych prostaków, zwłaszcza że oni z nas się śmieją. Żona kanclerza niemieckiego, hrabina Bülow (z domu: Donna Maria księżniczka Camporeale) biega rano po swem rozległem mieszkaniu ze ścierką od kurzu, a gdy cesarz zobaczył ją, porządkującą pałac kanclerski po wprowadzeniu się, przysłał jej w prezencie — cetnar mydła. Czy taki naród może mieć pretensyę do kultury, a takie damy do szyku? Chłopstwo, a co najwyżej — mieszczaństwo. To tylko jest smutnem w tym komizmie, że ta pozbawiona elegancyi i manier arystokratycznych hołota świat zdobywa, a my tak pysznie umanierowani...

Przyczyna drożyzny.

Warsz. Dziennik twierdzi, że różnica w warszawskich cenach produktów spożywczych z cenami podmiejskiemi dochodzi do 100%, a wywołuje ją spekulacya handlarzów żydowskich, którzy objeżdżają wsie i wykupują od włościan wszystkie artykuły. Ale dlaczego tak się dzieje dopiero teraz? „Taki stan rzeczy — powiada *Gazeta Polska* — wytworzył się pod naciskiem różnych krępujących przepisów: co do przejazdu przez most praski tylko w pewnych godzinach, co do ruchu wozów ładownych po mieście, co do przystawania ich w miejscach oznaczonych itd." To nie ulega żadnej wątpliwości. Włościanin, mający coś do sprzedania, zatrzymywany, goniony, niepuszczany, pomimo swej znanej i bezprzykładnej wytrzymałości, ostatecznie straci ją i woli taniej oddać swój produkt handlarzowi na miejscu, niż znosić nieuniknione tarapaty w Warszawie. A gdyby nawet uniknął wszystkich, to ów nieszczęsny most, po którym mu wolno przejeżdżać tylko w godzinach porannych, wystarczy do obrzydzenia bezpośrednich stosunków ze spożywcami na drugiej stronie Wisły. Zresztą po ścisłym obrachunku rozmaitych przewidzianych i nieprzewidzianych wydatków oraz straty czasu, chłop przekonał się, że oddając towar po niższych cenach w domu, więcej zarabia, nie licząc korzyści moralnej na oszczędzeniu sobie poniewierki.

Potrzebne wydawnictwo.

Dotychczasowe zabiegi szerzenia wiedzy za pomocą książek i uniwersytetów ludowych mają te wielką wadę, że nie obejmują ani całokształtu poznania, ani nawet jednej jego dziedziny. Wydawnictwa i wykłady tego rodzaju nie stanowią łańcucha ogniw ściśle spojonych, ale szereg niepowiązanych i luźnie obok siebie stojących ułamków. Kawałek historyi, kawałek biologii, kawałek ekonomii politycznej, kawałek lingwistyki itd. — oto zwykły szereg takich popularyzacyj. Ich słuchacz lub czytelnik ma w głowie specyalny zapasik: opowieść o wynalezieniu maszyny parowej, drugą o odkryciu Ameryki, rozprawę o jajku, drugą o rencie gruntowej, charakterystykę Szekspira, teoryę powstawania gatunków, historyę wojen krzyżowych itd. Wszystko to nieszyte najsłabszą nicią i nie przeszkadza, ażeby posiadacz tego skarbczyka nie był ignorantem w najelementarniejszych przedmiotach. Nie dość tego. Jak każda belka okazuje swoje znaczenie wtedy, kiedy jest związana z innemi i z całą budową, podobnie każda część wiedzy nabiera wartości, gdy się znajdzie w jakimś jej systemacie. Sama w oderwaniu jest tak bezużyteczną, jak niewprawiona belka. Pod natchnieniem tego względu ponawiają się za granicą coraz pomyślniejsze usiłowania zamknięcia całokształtu ogólnej wiedzy w przystępnych i tanich wydawnictwach dla ogółu. Za tym przykładem powstał i u nas podobny zamiar. Wkrótce ma wyjść pod postacią seryi niewielkich książek rodzaj popularnej encyklopedyi wszystkich nauk, wyłożonych w zakresie minimalnej oświaty kulturalnego człowieka. Za wyraz i podstawę do opracowania tego dzieła służyć będzie głównie niemiecka *Bibliotek des allgemeinen und praktischen Wissens*, którą wydaje Emanuel Müller — Baden

Zakazano.

Jedna ze szkół prywatnych ogłosiła przepisy, zabraniające młodzieży odwiedzania cukierni, kawiarni, mleczarni z bilardami, bywania w teatrzykach, na operetkach i wogóle w tych miejscach publicznych, gdzie uszy i oczy zebranych często niezgodne z etyką i obyczajnością mogą uderzać rzeczy. Gdyby wszelkiego rodzaju zakazy można było uważać za skuteczne lekarstwo na różne niedomagania społeczne, należałoby pragnąć, aby za przykładem tej szkoły jak najprędzej poszły inne. Bez wielkich bowiem trudności dałoby się wówczas przeistoczyć nastrój duchowy i usposobienie fizyczne całej młodzieży, a więc uzdrowić społeczeństwo w najważniejszej jego części. My zaś, starsi, moglibyśmy brnąć dalej w zastarzałych nałogach, po dawnemu podtrzymywać teatrzyki, cafe-chantanty i takie przedstawienia w wielkich i małych teatrach, na których można uśmiać się do łez z tłustych choć głupich dowcipów, zobaczyć gest ryzykowny i zgrabne nóżki z pod krótkiej spódniczki; po dawnemu rozrywać się czytaniem i oglądaniem pornografii; po dawnemu rozweselać szarzyznę życia w wesołej kompanijce, tu, tam i owdzie, gdzie młodzieży znajdować się zakazano, a więc ojcu, przełożonemu, nauczycielowi przestaje grozić kłopotliwe spotkanie się z synem, uczniem, wychowańcem. My będziemy żyć sobie po dawnemu, bawić się po dawnemu — a dzieci nasze nie będą tego widziały i nie będą naśladowały — bo im tego zabroniono.

Kolonie letnie.

Co rok o tej porze Tow. kolonij letnich przygotowuje się do swych czynności, przyjmując zapisy dzieci, gromadząc środki w celu wysłania na wieś jak największej liczby dziatwy. Co rok powtarzają się hiobowe dzieje odprawiania z niczem wielu, bardzo wielu zgłaszających się, z których tylko drobna garść przyjętą być może. Towarzystwo istnieje już rok dwudziesty trzeci, a dopiero ubiegłego lata zdołało wysłać na wieś 3,000 dzieci. Trzy tysiące na milionową prawie ludność Warszawy—tylko trzy tysiące! Z pośród tej masy dzieci zalegających ulice miasta, bawiących się nad rynsztokami, żyjących w ciemnych, wilgotnych, dusznych podziemiach wielkich kamienic i na każdym kroku rażących nasze oczy bladością chorowitych twarzyczek, wynędznieniem i kalectwem ciałek, tylko trzy tysiące mogło odetchnąć powietrzem szerokich pól, odżyć na słońcu, pod troskliwą opieką dobrych ludzi. Ilu w tym roku to szczęście się uśmiechnie, przewidzieć trudno. Towarzystwo nie posiada innych dochodów nad ofiarność ogółu,— którego pamięci, sumieniu i sercu poleca stale swych wychowańców.

BADANIA NAUKOWE.

Uczuciowe tamy postępu.

(Rozszerzony odczyt na powodzian).

(Ciąg dalszy).

Nie zawsze jednak z uznanych prawd wyłaniają się odpowiednie uczucia, oddziaływające na wolę, a zwłaszcza rzadko ten proces odbywa się natychmiast i szybko. Nieraz pewniki naukowe spoczywają bezwładnie w umysłach ludzkich przez setki i tysiące lat, nie wywołując w nich dążeń do czynu. Ta trudność i powolność przeistaczania się pierwiastków rozumowych na wzruszeniowe uwarunkowana jest wieloma przyczynami. Naprzód do wiedzy ludzkiej wchodzi bardzo dużo prawd — jeśli tak wyrazić się wolno — przedwczesnych, nieznajdujących w umysłowości ogółu należycie przygotowanej gleby: zagrzebują się one w cienkiej warstwie jałowego nalotu skalnego, w której długo leżą bezpłodne nie kiełkując i nie zapuszczając korzeni w grunt uczuciowy. Zachodzi to szczególnie wówczas, kiedy jakaś nowa idea znajdzie się w ostrem przeciwieństwie z dawnemi lub kiedy nie okaże ścisłego związku z życiem praktycznem. „Rzeczywiste oznanie, oddziaływające również na czyny — mówi Spencer—osiągną zawsze tylko takie teorye, które — bez względu na to, czy się ostoją wobec logiki, czy też nie — pozostają w większej lub mniejszej zgodzie z przeciętnemi zasadami życia prywatnego i publicznego" (*Prinz. d. Soc.*, III, 784). Pomysły ekonomiczne Owena i innych utopistów nie były tak niedorzeczne, jak to wywnioskowano z ich niepowodzeń praktycznych; one tylko nie odpowiadały warunkom życia swojej epoki.

Powtóre ogromna większość ludzi jest uczuciowo niezmiernie słabo wrażliwą na nowe prawdy, a to zobojętnienie spotkać można nawet śród duchów potężnych. Seneca, apostoł surowej i nieugiętej etyki stoicyzmu, zalecał ubóstwo a żył w zbytku i pożyczał pieniędzy na lichwę, wysławiał niepodległość a tarzał się w służalstwie, gromił występki i bronił Nerona. Baco, który dowodził „moralnego znaczenia wiedzy" i zakładał dla niej wspaniałe podwaliny, jednocześnie dopuszczał się zwyczajnych oszustw. Rousseau, który stworzył nową a tak tkliwą teoryę wychowania, oddał swe dzieci do przytułku podrzutków.

Potrzecie, każdy świeży wytwór poznania, wstępując do duszy ludzkiej, znajduje w niej nietylko inne, często sprzeczne z nim prawdy, ale nadto zrodzone przez nie i utrwalone uczucia, które nie pozwalają powstać i utrzymać się nowemu. Jeżeli zaś ono nie ulegnie i podejmie z niemi walkę, to musi ją długo toczyć, zanim zwycięży. Wszelkie bowiem uczucia, które rozwinęły się w duszy ludzkiej i oddziaływały na ruchy jej woli przez pewien czas, a nieraz przez wieki, wrastają w nią bardzo głęboko i nie dadzą łatwo się wyrwać. Bronią one swego bytu mężnie i rozpaczliwie. Bez uprzytomnienia sobie tych zapasów niepodobna często zrozumieć oporu ludzi w przyjęciu i zastosowaniu do życia wielu idei, zasad i reguł, które przeszły przez wszystkie sprawdziany rozumu. Tak np. niema dziś już instytucyi społecznej, któraby nie potępiła pojedynku. Oświadcza się przeciwko niemu religia, etyka, prawo, opinia najświatlejszych umysłów, mimo to on ciągle jest używany do rozstrzygania zatargów nawet przez tych, którzy go uważają za niedorzeczny i ohydny przeżytek barbarzyństwa. Nie podtrzymuje go zaś żadna inna moc, tylko zadawnione uczucia (rycerskości, obawy narażenia się na zarzut tchórzostwa itd.), których największe wysiłki przeciwnych dowodzeń pokonać nie mogą. Kto nie zmaże obrazy pojedynkiem lub go nie przyjmie, czuje się niemniej zagrożonym w swej czci, niż gdyby choremu po operacyi zdjął tajemnie opatrunek i rozwiązał arteryę uciętej nogi.

Buckle (*Hist. of civ.*, I, str. 4) w swoim sławnym a wysoce błędnym i logicznie pogmatwanym wywodzie twierdzi, że postęp ludzkości zależy od dwóch czynników: myślowego i moralnego, z których pierwszy jest ruchomym a drugi niezmiennym, odwrotnie zaś prawdy pierwszego są trwałe a drugiego — nikłe. Dziś wiemy, że tak nie jest i nie mielibyśmy żadnego kłopotu w przytoczeniu Mackintoshowi, na którego Buckle się powołuje, wielu nowych zasad życia, które według niego nie zmieniły się wcale przez 3,000 lat od wydania Pięcioksięgu. Rzeczywiście w dziejach kultury ludzkiej pierwiastek myślowy jest postępowym, a uczuciowy zachowawczym. Tu dzieje się wprost przeciwnie, niż w naturze: mózg bowiem ciągle pracuje a serce często odpoczywa. Dla zrozumienia nowej prawdy wystarczy nieraz chwila, a dla przyzwyczajenia się do niej nie starczy wiek. Skutkiem tego uczucia przez swoją słabą zmienność opóźniają pochód wiedzy a tamują rozwój zależnych od niej pobudek woli. To podwójne skrępowanie możemy dostrzedz w niezliczonych faktach historyi. Czytając wymownie nakreślone przez Drapera (*Hist. of the confl.*) obrazy walk na polu wiedzy przyrodniczej, gotowi jesteśmy w tych zajadłych sporach o kształt i wielkość ziemi, o jej stosunek do innych ciał niebieskich, o jej wiek i początek widzieć tylko z jednej strony mądrość, a z drugiej skamieniałą głupotę. Tymczasem w tych bojach uczestniczył jeszcze inny pierwiastek — uczuciowy, który może głównie podniecał ich zaciętość. Nie ulega wątpliwości, że Kopernik i Galileusz przewyższali geniuszem i wiedzą astronomów i geologów biblijno-ptolomejskich; ale gdyby mieli do przełamania tylko niewiadomość swych przeciwników, zwyciężyliby ich daleko prędzej. Musieli oni wszakże pokonać w nich zrosłe z tą niewiadomością uczucia, które się najdłużej broniły w okopach tradycyjnej kosmogonii. Sam rozum, który beznamiętnie mierzy dowodową moc prawd, który stare bez wahania wymienia na nowe, dla którego zupełnie jest obojętnem, czy ziemia jest płaską, czy kulistą, czy stoi, czy odbywa ruch, liczy 6000 czy też setki tysięcy lat — sam rozum przyjmowałby świeże zdobycze bez żadnego oporu. Ten opór wychodzi od spojonych z nim wzruszeń.

Każdy z nas zauważył z pewnością, że ile razy jakieś nowe światło rozwidni nagle naszą duszę, w pierwszej chwili napełnia ją nie weselem, lecz smutkiem. Słyszymy w niej, jak gdyby krzyk strachu, błagania, jęki i westchnienia zgonu. Co to znaczy? To znaczy, że wtedy trwożą się, proszą o ratunek i litość, konają w nas uczucia, które tego blasku znieść nie mogą i umrzeć muszą. Taki sam przełom w większej mierze odbywa się na rozległej przestrzeni rozwoju duchowego. Nie sądźmy, ażeby niechęć, jaką współcześni okazywali pierwszej lokomotywie, była jedynie objawem ich niezdolności w pojęciu i ocenianiu wynalazku, który swą olbrzymią wartość ujawniał z całą oczywistością. Nie, tam z niewiarą łączył się żal za odwiecznymi sposobami komunikacyi. Często mówimy o wielbionych ludziach, że są niezastąpieni, a o ich dziełach, że są niedoścignione. Trzeźwy rozum nie może być tak naiwnym i krótkowzrocznym, ażeby w jakiejkolwiek chwili i na jakimkolwiek przedmiocie stawiał ostateczny kres doskonałości; ale odurzający go zachwytem kult bohaterów nie pozwala mu po za nimi widzieć nic wyższego. Gdy w średnich wiekach zakwestyonowano nieomylność Arystotelesa, jego fanatyczni czciciele nie chcieli wcale badać wartości użytych przeciw niemu argumentów, gdyż dla nich sam zamach na mistrza był występkiem. Przekłady poematów Homera, dokonywane w XVII i XVIII w., kiedy otaczano go bałwochwalstwem i starano się w duchu epoki nadać mu połysk najwyższej wytworności, rozśmieszają nas dziś swoją zabawną dowolnością. Czy ona wszakże dowodzi, że tłomacze nie znali języka greckiego? Bynajmniej. Rozumieli oni dobrze, że Homer porównywa Achillesa do osła, ale ponieważ wyraz ten wydawał im się nieodpowiednim zarówno dla boskiego poety, jak dla boskiego bohatera, więc zastępowali go określeniem: „zwierz cierpliwy i silny, ale powolny i leniwy," a niektórzy to zastępcze

omówienie rozszerzali do kilkunastu wierszy, usiłując w nich zanurzyć biednego osła (Ferron: *Theor. d. progr.* I, 77). Według Heinego ile razy pojawi się geniusz, zaraz wszyscy głupcy zawiązują przeciw niemu spisek. Czy to są tylko „Dummkopfe"? Nie. Sprzysięgają się przedewszystkiem zranione uczucia. „Łatwo pojąć — mówi Ferron — opozycyę, jaką wywołuje śród współczesnych dzieło wielkiego człowieka. Często wyszydzają go i znieważają dlatego, że on narusza ustalone zwyczaje, bądź wykazując doniosłość jakiejś zasady, która dotąd była lekceważoną, bądź wprowadzając do nauki zasadę, którą znało zaledwie kilku ludzi" (I, 192). Ale gdy władza takiego człowieka nad umysłami raz się utrwali, nieprędko i niełatwo podkopie ją i wyważy nowa siła. „Miarą śmiałości i energii myślenia jest — według Höffdinga — opór przeciwstawiających mu się uczuć." Gdy ono wszakże raz wystąpi, uczucie staje się wiernym stróżem jego zdobyczy. Dowodem teorya Darwina, która dotąd pasuje się z przesądami ogółu; nawzajem gdyby ktoś obalił dziś teoryę Newtona, nie doczekałby się przed śmiercią powszechnego uznania. Jest to pozornie dziwem niepojętym, że pomimo odsłonięcia wszystkich pobudek i zamiarów Napoleona I, pomimo ogłoszenia jego pamiętników, listów, rozporządzeń i poufnych zwierzeń, pozostaje on ciągle przedmiotem czci i niemal miłości nawet tych narodów, które niejednokrotnie wyzyskał i najbezwstydniej oszukał. Dowody jego obłudy, samolubstwa i przewrotności są wyraźne, zrozumiałe i niewątpliwe, nie mogą one jednak dotychczas przemódz zakorzenionych uczuć, któremi zasiała serca dawna złudna wiara w mniemanego zbawcę ludów. I gdyby zaproponowano, azeby w basenie jego grobu u Inwalidów urządzono akwarium dla badań przyrodniczych, obecni potomkowie, najbardziej przez niego unieszczęśliwionych, oburzyliby się na ten projekt strasznie.

(D. n.)

A. Świętochowski.

LITERATURA I SZTUKA.

Juliusz Słowacki.

(Z powodu książki prof. Tretiaka.

(Dokończenie).

Na każdej karcie, krytykującej o podróży na Wschód, mamy liczne dowody nienawiści prof. Tretiaka do poety. Zdaniem jego Słowacki, którego fantazya była tak bujna, wybrał się w podróż „po materyał poetyczny" (str. 91), a do grobu Chrystusowego „nie uczucie pobożne go przywiodło, ale poetyzująca wyobraźnia" (str. 90). Może są na to dokumenta? Nie! Tak samo nie ma najmniejszej podstawy do twierdzenia, iż Anhelli jest uosobieniem Słowackiego. Ale skoro nadarza się sposobność obrzucenia poety błotem, natychmiast występuje zacietrzewienie. Zdaniem prof. Tretiaka — Słowacki po to napisał „Anhellego" prozą biblijną, aby módz zmierzyć się z „Księgami Pielgrzymstwa" Mickiewicza. Na to nie daje dowodu, jakkolwiek wiadomo mu dobrze, iż na pisanie prozą złożyły się następujące czynniki: „wczytywanie się poety w owych czasach w Biblię, cisza klasztorna, nastrajająca religijnie i harmonizująco z powagą i prostotą stylu biblijnego," jakkolwiek zna wyznanie Słowackiego:

Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną.
Z tego więc poszło, że pisałem prozą...

To wszystko nie ma najmniejszej wartości dla prof. Tretiaka. Widać więc, jak na dłoni, że nie chodziło mu o prawdę. Prof. Tretiak zna ją dobrze, ale woli uczynić bezpodstawne przypuszczenie o chęci naśladowania Mickiewicza, aby tylko dogodzić swemu pragnieniu obniżenia wartości Słowackiego, jako poety i jako człowieka.

W tym celu prof. Tretiak przemilcza to nawet, co wszystkim dobrze wiadomo. Słowacki, wiedząc, że dla wszystkich poetów świata miłość była główną krynicą natchnienia, chciał się koniecznie zakochać" (str. 99). Idąc za tą myślą — teraz dopiero każe prof. Tretiak stworzyć Słowackiemu poemat p. t. „W Szwajcaryi." Dlaczego przemilczał wyniki badań nad tym utworem dr. K. Jereckiego w „Bibliotece warszawskiej" z r. 1901, gdzie udowodniono, że „W Szwacaryi", powstało kilka lat przedtem, że treścią opiewanej tam miłości jest historya uczucia młodocianego dla Ludki Śniadeckiej, tego pojąć nie mogę. Czyżby dowcip szan. autora tak się stępił, że nie mógł znaleźć błahych argumentów przeciwko dowodzeniom, zawartym w wymienionej rozprawie?

Przy „Poemacie Piasta Dantyszka o piekle" powraca znowu kwestya „Grobu Agamemnona." Oto, jak rozumuje prof. Tretiak na ten temat: „W Grobie" poeta przeklinał „rubaszny czerep" szlachecki,... i wzywał do zrzucenia kontusza i pasa; w „Dantyszku" ten rubaszny czerep w kontuszu i z dzbanem w ręku... przybierał w końcu aureolę świętości i męczeństwa. Cóż było prawdą podług poety? Kiedy był szczerym, czy wtedy, kiedy pisał „Grób Agamemnona," czy kiedy pisał „Dantyszka"? (str. 107). Otóż z całego tego wnioskowania okazuje się, że szan. autor nie rozumie żadnego z tych dwu poematów. Gdyby bowiem był je zrozumiał, spostrzegłby był bez trudu, że Słowacki uważał lity pas złoty i kontusz w „Grobie Agamemnona" za symbol zbytku polskiego, a nie wyrażał nienawiści do szlachty, która więziła idealne porywy jednostek w „czerepie rubasznym" egoistycznych planów i dążeń. Jeśli w „Grobie Agamemnona" usymbolizował za pomocą kontusza opieszałość narodu, to chyba nie przeszkadzało, ażeby „Piasta Dantyszka" ubrał w takąż szatę—mimo że Dantyszek „przybierał w końcu aureolę świętości i męczeństwa." Pomijam już owo ciągłe, bo i na str. 123, dopatrywanie się nieszczerości w poezyi Słowackiego. Prof. Tretiak nie starał się nawet podać ścisłej definicyi szczerości. Wobec tego cały spór o szczerość byłby sporem „de lana caprina." Ja przynajmniej nie mogę sobie wyobrazić, jak udowodnić komuś nieszczerość w poezyi. Zwrócę tylko uwagę, że choćby słowa poematu stały w sprzeczności z dziełami poprzedniemi lub następnemi albo z czynami poety zupełnie współczesnymi, jeszcze o nieszczerości nie może być mowy. Niepodobna bowiem *udowodnić*, że poeta w danej chwili, nie czuł tego, co pisał. Wszelkie zaś *przypuszczenia* na ten temat musi nauka ważyć bardzo lekko. To też i ja, stojąc na stanowisku czysto naukowem — nie mogę nawet polemizować z szan. autorem więc też nie będę zbijał gołosłownego jego wniosku, że poeta pisząc strofy do kochanki w „Beniowskim" „czuł tak, jak czuje dobry aktor, głęboko przejęty swą rolą" (str. 165). Sam ton słów poety świadczy, że czuł mocno to, co pisał.

Zamiast snuć tego rodzaju domysły, lepiejby było dla pracy samej, gdyby szan. autor dokładniej był poznał literaturę o Słowackim, co jest przecież obowiązkiem każdego, kto chce pisać o jakimbądź przedmiocie. Nie znaleźlibyśmy kuryozów jak ten, że kochanek Śniadeckiej Korsakow zginął pod Warną w r. 1828. (str. 166), kiedy obecnie wiadomo, że zginął on o rok później pod okopami Szumli. Uniknąłby był dalej takich bezpodstawnych a czci Słowackiego głęboko uwłaczających twierdzeń, że Słowacki jakoby cieszył się z niedostatku w domu Mickiewicza (str. 167), oraz że idąc na ucztę wydaną na cześć Mickiewicza, przygotował sobie z góry improwizacyę (str. 169). Możnaż się liczyć z takiemi twierdzeniami, które zaczerpnięto z powietrza?

„Słowacki, podobny do gracza, który stawia ciągle na loteryę i po każdem ciągnięciu doznaję smutnego zawodu, ale w miarę, jak zbliża się nowe ciągnienie, nabiera nowej otuchy" (str. 127—128), postanowił zmiażdżyć przeciwników — opowiada, zaczynając tak pięknem porównaniem, szan. autor — w „Beniowskim." Ażeby nie przewlekać dłużej i tak ponad zamiar przydługiej oceny pracy profesora Tretiaka, pominę wszelkie wycieczki, jakie szan. autor czyni z okazyi „Beniowskiego" przeciwko rzekomej zarozumiałości poety. Powiem ogólnie, że nie widzę samoubóstwienia w strofach tego poematu a jedynie poczucie własnej, rzetelnej wielkości i siły wobec karłów, z jakich składała się emigracya, rzucających po większej części z głupoty, gromy potępienia na wszystko, co tworzył geniusz poety.

Zatrzymam się jeszcze tylko przy dwu punktach.

Bóg Słowackiego — powiada prof. Tretiak — „przemawia tylko do zmysłów, do oczu i uszu, a przez te zmysły do wyobraźni, podobny do bogów, czczonych przez ludy pierwotne, nieumiejące oddzielić przyczyny zjawisk natury od samych zjawisk, przytem Bóg to jakiś stepowy, pierwiastek ruchu dla samego ruchu, niby wiatr ukraiński, niby koń rozhukany... Cóż dziwnego, że Bóg taki „lubi huczny lot olbrzymich ptaków" i że „rozhukanych koni On nie kiełzna." Lubi on podobno także wielkie czyny, ale łatwo się domyślić, że tylko takie, które tworzą wspaniałe widowisko, które są zresztą dla oczu" (str. 209). Oto przykład braku dokładnego zastanowienia się nad tem, co chciał wyrazić poeta! Bóg bowiem Słowackiego — jak słusznie zauważył Matuszewski — „ten wielki Bóg, co ukochał wielkich ludzi i wielkie czyny — to Bóg życia, które się rozwija uszlachetnia i rośnie; to Bóg owocnej pracy i walki; Bóg, co pragnie, żeby stworzenie tęskniło do niego i dążyło do niego — jako do jedynego źródła prawdziwej doskonałości." (J. Matuszewski: Twórczość i twórcy, Warszawa 1904, str. 130).

I jeszcze jedno. Jeśli w walce z Mickiewiczem, potępiał jego słowianofilstwo, jeśli zadokumentował.

Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie...

to nie jest równoznaczne ze zdaniem prof. Tretiaka: „Kto prowadzi wszędzie, ten nie prowadzi nigdzie" (str. 222). Bo poety zamiarem było podwyższyć stopień kultury narodowej, bo on chciał poprowadzić naród tam, dokąd nikt nie doszedł, do najgłębszych tajemnic narodowego życia, jakie przedstawić usiłował w „Królu Duchu."

To też chyba śmiech może wzbudzić zdanie Zaleskiego, na które szan. autor kładzie nacisk, „Ja taki niepoczesny, a wcale się nie stracham i spodziewam się, że kiedyś po leciech zsadzę go z pegaza..." Ileż w tem wyznaniu bezpodstawnej zarozumiałości, którąby Bohdanowi wytknąć należało?...

* *

Odkładam na bok dzieło prof. Tretiaka z uczuciem żalu i bólu. I nie wiem z jakiego powodu szan. autor przemilczał wszyst-

kie dodatnie cechy charakteru poety, i jego poezyi, a natomiast w jaskrawych barwach starał się ukazać szczegóły, powiększej części mylne, nieuzasadnione, które rzucały wątpliwe światło na moralną wartość Słowackiego. Dlaczego z życia poety wyłuszczył skrypulatnie to, co na pozór, miało przyczynić się do poparcia *apriorycznych osobistych przekonań* szan. autora? Że w tej książce jest wiele nowych a trafnych spostrzeżeń (np. w zakresie rozbiorów „Balladyny“ lub „Lilli Wenedy“), — tego zaprzeczyć nie można. Ale nikną one i gubią się, nawet dla wprawnego oka, w niezmierzonym chaosie krzywdzących sądów, jakie prof. Tretiak zastosował bezwzględnie do Słowackiego. Kończę urywkiem „Testamentu“:

Kto drugi tak bez świata oklasków potrafi
Iść?...

jak ten który

...zostawił *maleńką tu drużbę*
Tych, co mogli pokochać serce jego *dumne*...

Ta duma jego, to poczucie własnej potęgi wobec karłowatego społeczeństwa współczesnego, — to jego potęga, to siła, to moc, to wielkość.

Dr. St. Zdziarski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stefan Krzywoszewski: *Tęcza*, komedya w 3 aktach.— Maryan Tatarkiewicz: *Majowa msza*, obrazek w słońcu w jednej odsłonie wierszem. — Al. hr. Fredro: *Odludki i poeta*, komedya w 1-ym akcie wierszem (wznowienie).

Ktoby chciał w utworach powieściowych i dramatycznych p. Stefana Krzywoszewskiego doszukiwać się głębszej myśli, poważniejszej psychologii i prawdziwego artyzmu, ten niewątpliwie dozna prędko zupełnego rozczarowania i zawodu. Autor „Zmierzchu“ i „Tęczy“ ślizga się wogóle w swych dziełach po samym wierzchu fali życiowej, lecz przyznać trzeba, że czyni to zwykle dosyć zręcznie, umiejąc wzbudzić w swych czytelnikach i widzach chwilowe bodaj zajęcie.

Mniejsza o to, że różni Szenerowie, Tarkiewicze i Chomieccy, różne panie Marye i Heleny jego komedyj i powieści przypominają niekiedy kreacye artystyczne średnio uzdolnionych piątoklasistów lub piątoklasistek, a taki np. upadek domu handlowego w „Zmierzchu“ pozostawia wrażenie zanadto już trochę — operetkowe, utwór mimo to czyta się „gładko“ i znajduje w mniej wybrednych kołach szczerych zwolenników i zwolenniczki. Obok mniej lub więcej zaciekawiającej osnowy odgrywa tu rolę zapewne echa ideałów, które przyświecały Sienkiewiczowi w dobie tworzenia „Rodziny Połanieckich“. Daje się ono odczuć zarówno w dawniejszych działach p. Krzywoszewskiego, jak w wystawionej świeżo w teatrze Rozmaitości „Tęczy“.

Odmalowany w tej komedyi z drobiazgową ścisłością światek — to czystej krwi filisterya mieszczańska, której gwiazdy przewodnie sprowadzają się przeważnie do smacznego obiadku, ciastek do herbaty, wyścielanej kanapki i tym podobnych błahostek życia. Autor maluje przytem swych Jasiów i Ksawciów z rozbrajającą dobrodusznością, bez cienia zacięcia satyrycznego, nie wahając się na bohatera niemal pasować poczciwca, który nie cofnął się przed małżeństwem z niejaką panną Heleną, choć ta kochała już przed laty innego i — nie umiała się z nim targować o dowody miłości. Zamknięcie oczu na taką „plamę“ w życiu dziewczyny, przy wszelkich nawet, jak w danym wypadku, okolicznościach łagodzących, nie przestało dziś jeszcze uchodzić w pewnych sferach za bohaterstwo, choć pomijając już nawet małżeństwa z wdowami, nikomu na myśl nie przyjdzie stosować tej samej miary do mężczyzn. Logika nasza, jak wiadomo, ze wszystkich ewolucyj gimnastycznych, najbardziej lubi — koziołki.

Jeżeli jednak utwór p. Krzywoszewskiego nie należy z pewnością do rzędu tych, które przed myślą ludzką roztaczają widnokręgi nowe, to jednak nie można mu odmówić takich zalet, jak dobre, choć powierzchowne dosyć zobrazowanie środowiska, niezły, choć sylwetkowy całkiem, rysunek postaci, żywość pojedynczych scen etc., tego wszystkiego, słowem, co czyni sztukę „sceniczną“ i zapewnia jej daną ilość pełnych przedstawień, o co, naturalnie, idzie przedewszystkiem. Gdyby nie zbyt duża rola, jaką tu odgrywa przypadek, sprowadzający po siedmiu latach nieobecności dawnego wielbiciela Heleny w ten sam dzień właśnie, gdy o jej rękę oświadczył się pan Ksawery, gdyby nie sztuczne nieco wyprowadzanie z widowni figur zbytecznych, nowa komedya p. Krzywoszewskiego mogłaby uchodzić za rzecz *dobrze zrobioną*, choć nieprzekraczającą miary — poprawnego fejletoniku scenicznego.

Ponad poprawność przeciętną wznieśli się za to w sposób wysoce pożądany wszyscy występujący w „Tęczy“ artyści, tworząc całość, wartą widzenia. Prym między nimi trzyma (w roli Ksawerego) p. Frenkiel, którego ruch każdy, każde słowo — są nacechowane prawdą, odczutą i oddaną z taką intuicyą przedziwną, jakby — istotnie — było to życie samo, nie zaś tylko artystyczne odtworzenie życia. Panie Siemaszkowa i Irena Trapszo, panowie Ładnowski i Nowicki grają również w tej sztuce wybornie, co świadczy, że przy właściwej obsadzie ról, z którą, niestety, z powodu różnych względów i względzików, niezawsze się spotykamy, daje się u nas w dramacie i komedyi utworzyć i dzisiaj zespół prawdziwie artystyczny, mogący się nie powstydzić najlepszych tradycyj sceny warszawskiej.

Do „Tęczy“ p. Krzywoszewskiego dodawane bywają dwie jednoaktówki: „Odludki i poeta“ Al. hr. Fredry i „Majowa Msza“ p. M. Tatarkiewicza. Chociaż dziś poeci rzadko chcą się żenić z córkami oberżystów, a rzadziej jeszcze otrzymują pomoc bezinteresowną ze strony odludków szlachetnych; choć z drugiej strony wśród oberżystów nawet przestało popłacać zdanie, że „rachować, czytać, pisać — to mądrość kobiety“, jednoaktowa komedya twórcy „Ślubów panieńskich“ i „Zemsty“ nie straciła do dziś dnia znaczenia. W usta Edwina włożył w niej Fredro gorącą obronę miłości i kobiety przed zbyt ryczałtowem potępieniem ze strony mizantropów, lubiących zawsze uogólniać osobiste zawody i rozczarowania; za pośrednictwem Astolfa wypowiada pod adresem publiczności i krytyków kilka słów gorzkiej prawdy, które i w chwili obecnej mogłyby znaleźć zastosowanie szerokie, gdy tak rzadko spotkać się można z prawdziwem umiłowaniem sztuki — tam nawet, gdzie to uczucie jest już poprostu — obowiązkiem. Dodać trzeba, że doskonałym Astolfem jest p. Rapacki, któremu wtórują dzielnie pp.: Wojdałowicz, Szobert, Śliwicki (w roli Edwina) i Tekla Trapszo.

„Majowa Msza“ p. Tatarkiewicza — to ładny hymn na cześć wiosny, miłości i słońca, wyśpiewany przez usta rozmarzonej i tęskniącej do uczucia dziewczyny i wędrownego śpiewaka-poety. Po pierwszym upajającym pocałunku grajek odchodzi z piosenką na ustach, dziewczyna z tęsknotą w sercu pozostaje, a tymczasem poczciwi i dobroduszni, to znów kłótliwi i plotkarscy wieśniacy wychodzą tłocznie z kościołka, nie przeczuwając nawet, że gdy oni tam się modlili i pocili, tuż obok rozgrywało się misteryum prawdziwe i zapłonęła miłość w dwóch duszach. Obrazek swój, napisany wierszem melodyjnym, rzucił autor na pełne woni i blasków tło krajobrazu wiejskiego w ojczyźnie trubadurów — Prowancyi. Pole do popisu mają tu głównie pani Tekla Trapszo i p. Roland, którzy swe wdzięczne role odegrali z uczuciem szczerem.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

— Niedawno pojawiło się sprawozdanie „Towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury“ za rok 1902, to jest pierwszy istnienia instytucyi, której celem ma być wyszukiwanie i inwentaryzowanie tych zabytków, ich opieka przez chronienie od zniszczenia i możliwe nabywanie, oraz rozbudzanie w społeczeństwie zamiłowania do nich. Towarzystwo miało członków rozmaitych kategoryj 201, dochodów około 3,500 koron, a działalność jego tymczasem była dość szczupłą. Ograniczyła się bowiem do opracowania regulaminu do badania i inwentaryzowania dzieł sztuki i przemysłu artystycznego, rozpoczęcia kroków w celu ratowania niektórych ruin zamkowych i odnowienia uszkodzonych w silnym stopniu portretów Stanisława i Anny Oświęcimów, ich rodziców i krewnych w kaplicy franciszkańskiej w Krośnie oraz jednego obrazu ze skarbca na Wawelu. Z punktu widzenia czysto artystycznego ostatnia akcya była może najbardziej doniosła; po oczyszczeniu malowidła, znawcy w Berlinie jednogłośnie uznali je za dzieło oryginalne jednego z najwybitniejszych malarzy flamandzkich, wysoce poetycznego Quentyna Massys'a (1466—1530). Prócz tego staraniem prezesa Towarzystwa, prof. Jerzego hr. Mycielskiego, urządzono w Krakowie wystawę odnowionych obrazów dawnych malarzy, pochodzących z prywatnych zbiorów polskich.

Jako publikacyę swoją, Towarzystwo dodało do sprawozdania dwie rozprawki prof. Mycielskiego. W pierwszej autor z nadzwyczajną dokładnością opisuje owe odnowione 4 portrety rodziny Oświęcimów z Krosna, choć, jak sam oświadcza, wartość ich artystyczna bardzo a bardzo skromna, a bardziej ciekawe portrety samych fundatorów kaplicy jeszcze się w Berlinie u restauratora, prof. Hausera, znajdują. Druga rozprawa również drobiazgowo, ale niezbyt krytycznie zajmuje się portretem roboty Jana Lampi'ego i czterema portretami Józefa Grossi'ego z wyżej wspomnianej wystawy. Niezupełnie z charakterem wydawnictwa licują zbyt gorące zachwyty szan. autora nad pięknością i urodą utytułowanych modelek tych portretów, tem bardziej że niezawodnie do pewnego stopnia jest ona poprostu wynikiem słodkawej maniery salonowych portrecistów XVIII stulecia.

P. E.

O prawdę.

Szanowny Redaktorze!

Kilka słów odpowiedzi na uwagi p. Sokolnickiego o monografii Pabianic, zamieszczone w ostatnich dwóch numerach *Prawdy*.

1) Zgadzam się ze zdaniem recenzenta, że należało poprzestać na 1793 roku i pozostały materyał wydać oddzielnie w postaci drugiego tomu. Takiem też było pierwotne założenie. Musiałem jednakże odstąpić od zamiaru dla względów osobistej natury, które kazały się obawiać o losy rękopisu i poniekąd odbierały nadzieję dokompletowania materyału. Przy-

śpieszyło to wydanie pracy w obecnym jej układzie. Zebranie pozostałego materyału oraz obszerniejsze opracowanie czasów porozbiorowych zajmie conajmniej jeszcze dwa lata. Wszelkie uzupełnienia i anneksy ukażą się w tomie dodatkowym.

2) Natomiast pragnąłbym z całą stanowczością odeprzeć zarzut „ogólnikowego i bardzo pobieżnego traktowania dziejów włości w I rozdziale“ — nie *pro domo sua*, ale w zasadzie: Usystematyzowanie materyału w ten sposób, iż poszczególne kwestye rozpatrywane są w osobnych rozdziałach mojem zdaniem, należy do zalet każdej pracy historycznej: nie gmatwa się ogólnego obrazu tysiącem drobnych faktów, przez co tenże zyskuje na przejrzystości. Kogo bliżej interesuje dany przedmiot, niech zajrzy do poszczególnych rozdziałów, poświęconych wyłącznie temu przedmiotowi.

3) W związku z poprzednim stoi zarzut co do „niezliczonych powtarzań.“ Przy wymienionym układzie metodycznym powtarzania są nietylko nieuniknione, ale nawet konieczne, albowiem każda ważniejsza kwestya, szeroko omawiana w osobnych rozdziałach, musi bezwarunkowo w treściwej formie znaleźć oddźwięk w ogólnej części wykładu. Czy wobec tego wolno mieć pretensye do autora o to, „że wiele ciemnych początkowo uogólnień wyjaśnia się o wiele dalej“? Właśnie po szczegóły należy się udać do specyalnej części.

4) Zarzut „dorywczego opracowania niektórych poszczególnych rozdziałów“ przewidziany został w przedmowie i usprawiedliwiony szczupłością odnośnego materyału (str. 6). Nie sądzę jednakże, aby zasłużyły nań dwa pierwsze rozdziały o położeniu geograficznem i stosunkach topograficznych, którym poświęcono siedm stronic (str. 9—15), a które recenzya nazywa „wzmianką.“ Bardziej szczegółowe rozpatrywanie warunków geograficznych, a zwłaszcza geologicznych, nie wchodzi w zakres monografii historycznej i rozszerzyłoby ją do niewłaściwych rozmiarów. Fizyografia danej okolicy należy do specyalnych opracowań.

5) Nie umiem sobie wyjaśnić, na jakiej podstawie p. S. dochodzi do wniosku, że nie wyczerpałem zebranego w regestrach materyału rękopiśmiennego. Twierdzenie gołosłowne, na które odpowiedzieć mogę tylko zaprzeczeniem: wszystek zebrany w regestrach materyał został całkowicie zużytkowany. Na str. 71, wskazanej przez recenzenta, zrobiłem uwagę, że dobrze byłoby zebrać dawne przepisy administracyjne w jedną całość, jako wydawnictwo źródłowe, *in extenso*, ale bynajmniej nie przyznałem, iżbym sam miał nie korzystać z tego źródła, o ile to do historyi włości było potrzebnem

6) Rozpatrywanie zosobna różnych atrybucyj zarządu pod względem administracyjnym i sądowym przyczynia się, śmiem sądzić, do bardziej jasnego wyłożenia przedmiotu i nie zasługuje chyba na zarzut „sztucznego segregowania i rozłączania“; pomieścić wszystko, co wiemy o zarządzie, w ogólnych dziejach włości, jak tego chce szan. oponent, znaczyłoby podać w streszczeniu zawartość 33 stronic druku (str. 51—84). Wątpię, czyby praca zyskała przez to na wartości.

7) Czy istotnie w pracach historycznych należy najpierw przedstawić stosunki ekonomiczne a potem dopiero społeczno-prawne? Nie zdaje mi się. Przeciwnie, badanie stosunków prawa publicznego poprzedzić winno rozpatrywanie stosunków prawa prywatnego; pierwsze bowiem są ogólniejszej natury, drugie bądź wprost wypływają, bądź w ścisłej pozostają zależności od tamtych.

8) Rozdział o sądownictwie rzeczywiście jest „niekompletny,“ ale dla braku materyału źródłowego. Byłbym bardzo wdzięczny szan. krytykowi, gdyby zechciał mi wskazać, gdzie takowy znaleźć można.

9) Zarzuca mi p. S., że tam, gdzie mowa o karaniu na gardle, nie przytoczono faktu. Owszem, przytoczyłem fakty w artykule o „Sądownictwie w Pabianicach,“ drukowanym w *Ateneum* 1899 r., na który powołuje się monografia (str. 74 w przypisku).

10) „Autor bez dowodu twierdzi, że powinności poboczne odrabiano za dzień (str. 132).“ Bynajmniej — dowody znajdują się na kilku poprzednich stronicach (122—124) w cytatach z kontraktu dzierżawnego 1653 r.

11) Przeciwko temu, iżbym miał „z trzy razy po trzykroć odmiennie przedstawić kwestyę miasta czyli wsi Brusa“ — oponuję. Proszę wskazać mi, gdzie i jak.

12) Szkoda, że szan. krytyk nie dojrzał na końcu książki mapy włości pabianickiej, sporządzonej na podstawie karty sztabu generalnego, inaczej nie wołałby zgorszony: „bez mapy!“

Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze, wyrazy wysokiego szacunku i poważania.

Maksymilian Baruch.

NA MARGINESIE

Przypuszczalne straty w ludziach, jakie może przynieść tocząca się obecnie wojna, dadzą się w przybliżeniu obliczyć przez porównanie z dawniejszemi wojnami — czytamy w ostatnim zeszycie *La Revue* z 1 kwietnia.

Jeśli obie strony wyprowadzą w pole każda po 400,000 wojska, to prawdopodobnie około 80 do 90 tys. ludzi znajdzie się hors de combat — od 20 do 25 tys. zabitych, a reszta ranionych mniej lub więcej niebezpiecznie.

Równie trudno dziś przewidzieć, ile będzie kosztować ta wojna, choć z góry można powiedzieć, że wydatki Rosyi będą znaczniejsze, niż Japonii, z powodu jej większej odległości od terytoryum walki.

Dla amatorów cyfr mogą mieć znaczenie następne zestawienia:

Wojna krymska: Wydatki Rosyi wyniosły 3,050,000,000 franków. 125,000,000 miesięcznie; Francyi prawie tyleż; Anglii 75 mil. fr.

Wojna z 1866 r. Prusaków kosztowała 352 miliony, Austryę 500 mil. i 75 mil. indemnizacyi wojennej.

Wojna 1870 r. Prusacy wydali 1,280 mil. fr., 195 mil. miesięcznie; Francya — około 14 miliardów, bez prowincyj.

Wojna turecka 1877—78 r. Rosya 500 mil. rubli (licząc rubel po 3 fr. 25 c.), Turcya 802 mil. fr. indemnizacyi.

Wojna transwalska kosztowała Anglię 6,058 mil., po 190 mil. miesięcznie.

Wojna japońsko-chińska. Wydatki Japonii 420 mil. fr. — 50 mil. miesięcznie. Chiny zapłaciły 730 mil. fr. indemnizacyi.

O Beethovenie podaje E. Faguet kilka ciekawych rysów w nr. 7 *La Revue*. Już w 28 roku życia wielki muzyk stracił prawie zupełnie słuch. Wiadomo, że kalectwo to bardzo szkodliwie oddziaływa na charakter: rozwija podejrzliwość, skłonność do smutku i wielką drażliwość usposobienia; dla muzyka zaś jest jeszcze bardziej z natury rzeczy dotkliwe. Beethoven całe życie cierpiał na migreny, wieczny rozstrój żołądka, umarł w końcu na wodną puchlinę, która groziła mu od dawna.

Była to natura dumna i pełna drażliwości. Żądał, żeby mu się każdy, nawet najwyżej położony, kłaniał pierwszy.

Z listu jego do Bettiny znana jest wszystkim anegdota o nim i o Goethem w Wiedniu: „Królowie i książęta powinni wiedzieć — pisze Beethoven — że oni mogą rozdawać tytuły i wstążeczki, ale nie są w możności tworzenia wielkich ludzi. Kiedy dwóch takich, jak ja i Goethe, znajdzie się razem, ci wielcy panowie powinni zrozumieć, co się u nas nazywa wielkością. Wczoraj, wracając, spotkaliśmy całą rodzinę cesarską. Goethe usunął się na bok i zdjął kapelusz, ja, założywszy ręce na plecy i nasunąwszy kapelusz na uszy, przerznąłem się przez sam ich środek. Ks. Rudolf i cesarzowa ukłonili mi się pierwsi“ Potem jeszcze staremu Goethemu, który miał wtedy lat 62, on, młodzik prawie wówczas wobec niego, bo dopiero 41-letni, wymawiał zbytnią uniżoność.

Beethoven, który nie wiadomo dlaczego nie połączył się z tą, którą kochał, odznaczał się wielką czystością obyczajów, brzydził się wszelką zmysłowością w sztuce—nie lubił np. „Don Juana“ za jego libretto niemoralne, choć Mozarta uwielbiał, gdyż według niego sztuka nie powinna służyć za pokrywkę dla skandalicznych historyj. W mężczyźnie cnotę czystości podnosił bardzo wysoko; w cudzych żonach szanował zawsze tę nieznaną, która miała zostać jego żoną. Z zasady utrzymywał z niemi tylko stosunki przyjaźni, „by kiedyś mieć prawo ufać tej, która podzieli jego życie.“ Wieczną jego troską było „stać się coraz większym, tj. *coraz lepszym*,“ a mówił o tem z taką prostotą, że nie można podejrzewać go o brak szczerości... „Nie zobaczysz mnie— pisze on w r. 1800 — jak tylko bardzo wielkim, nie artystą, lecz człowiekiem lepszym, doskonalszym, a jeśli czasy będą lepsze, oddam mą sztukę na usługi biednych. Jakże będę wówczas szczęśliwy...“ Życie jego nie było jednak szczęśliwem do końca, nie było wolnem od drobiazgów i małostek, które biografowie niepotrzebnie dziś na jaw wyciągają.

PRASA POLSKA.

— W nr. 13 *Czytelni dla wszystkich* p. K. B., mówiąc o handlu książkami na prowincyi i przedstawiając nożne jego w obecnym stanie niedogodności, zwraca uwagę na główną tego przyczynę — nadzwyczaj małe rozpowszechnienie księgarenek drobnych, obsługujących tylko najbliższą okolicę, które w Niemczech, Czechach, Danii istnieją w każdem miasteczku i w bardzo wielu wsiach.

Cóż to jest taka księgarenka drobna?—pyta p. K. B. Jest to poprostu sklep, w którym obok najrozmaitszych innych towarów — galanteryjnych, piśmiennych, łokciowych, nasion, czy innych, można zawsze nabyć nieco książek najniezbędniejszych, a inne można w każdej chwili zamówić. Tam również prenumeruje się pisma, zamawia kalendarze — jednem słowem, załatwia się wszelkie zakupy księgarskie.

Dodać też trzeba, że jak w Anglii np. przy takich sklepach, po wsiach, mieści się zazwyczaj urząd pocztowy i kasa oszczędnościowa.

Z dalszych wywodów p. K. B. przekonać się możemy, że prowadzenie takiego sklepu to interes wcale zyskowny a nieryzykowny, niewymagający większego nad paręset rubli nakładu i nie tak znów trudny, aby mu nie miał podołać człowiek średnio zdolny.

A łatwo zrozumieć — powiada autor — jakie znaczenie kulturalne miałyby na prowincyi — w miasteczkach ludniejszych i dużych wsiach kościelnych — takie księgarenki drobne, zakładane przez ludzi rozumnych — i uczciwych. Książka pożyteczna i ciekawa znajdzie zawsze nabywcę na prowincyi, ale dziś jeszcze ona musi go często szukać. Człowiek niezamożny — gospodarz, robotnik fabryczny, nieczęsto bywa w większem mieście, niezawsze, będąc nawet, pamięta o książkach. Mając na miejscu księgarnię żywą, ruchliwą, umiejącą nietylko zaopatrzyć się w książki dobre, ale i odpowiednio je reklamować — każdy łatwiej się z książką spotka i chętniej ją nabędzie.

Księgarstwo prowincyonalne, szczególniej drobno, rozbite na tysiące promieniujących ognisk, jest wszędzie jedną z najprostszych, a najracyonalniejszych dróg umysłowego postępu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W *Gaz. Polskiej* czytamy: Organizuje się w Warszawie stowarzyszenie, którego działalność może być bardzo pożyteczna. Jest to kasa pomocy wzajemnej służących kobiet. Założyciele kasy starają się o prawo utrzymywania dwóch kantorów

nojmu, schroniska dla służących, pozostających chwilowo bez miejsca i przytułku, dla niezdolnych do pracy itd. Kasa wydawać ma nagrody służącym pilnym, przebywającym czas dłuższy w jednem miejscu, i posagi, wychodzącym zamąż. Ponieważ zarząd kasy zastrzega sobie prawo roztaczania opieki nad moralnością uczestniczek, będą więc mogły zapisywać się w ich poczet tylko służące, które zechcą się poddać regulaminom wewnętrznym. Kapitał tworzyć się ma z wpisowego 1 rb. od pań i 50 kop. od służących. Jako wkłady członkiń panie i służące wnosić mają do kasy po 50 kop. przy każdej zmianie służącej. W przyszłości, gdy kasa wzrośnie w zasoby, utworzone będą przy niej specyalne kursa wieczorne.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa nadesłało warszawskiemu urzędowi fabryczno-górniczemu następujące przepisy dopełniające do prawa, wydanego w r. 1902 o wypłacie zarobków: Należność za wykonaną pracę powinna być wypłacaną przynajmniej raz na miesiąc, jeśli umowę najmu zawarto na termin nie dłuższy, niż na miesiąc; w razie najmu na termin nieokreślone, wydawanie płacy zarobkowej powinno odbywać się nie rzadziej, niż dwa razy na miesiąc. Kiedy zupełny obrachunek zarobku jest trudny, zapłata w wymienione terminy powinna być dokonywana według przybliżonego obrachunku, dla zupełnego zaś obrachunku i wypłaty niedodanych należności, urząd do spraw fabryczno-górniczych może ustanowić termin ulgowy dla miesięcznych robotników 20 dni, dla bezterminowych 14 dni. Przyczyną zastosowania terminu ulgowego może być wyłącznie drobiazgowość rachunków, nie może zaś termin ulgowy służyć, jako środek ku niedopuszczeniu przedwczesnego porzucania przez robotników zajęcia, lub w celu wzmocnienia karności fabrycznej.

— We Francyi, w okręgach Roubaix i Tourcoing skutkiem zmowy 40 kilku tysięcy robotników zamknięto 220 fabryk.

— Miliarder amerykański, Rockefeller, ofiarował 25 milionów dolarów, z których odsetki mają otrzymywać zasługujące na poparcie instytucye dobroczynne w Ameryce i Europie.

— W Stanach Zjednoczonych uchwalono prawo, wprowadzające do kodeksu karnego karę śmierci za zamach na życie prezydenta, wyższych dostojników krajowych i dyplomatów zagranicznych.

— Ogłoszony został wyrok senatu na skutek apelacyi w znanej sprawie b. policmajstra Siedlec, von Arnolda i strażników ziemskich, którzy przyczynili się do samobójstwa Sadowskiego. Wyrok Izby sądowej, skazujący von Arnolda na 2 miesiące odwachu, senat zmienił na wydalenie ze służby, którą oskarżony pełnił po wyroku, jako naczelnik straży ziemskiej pow. Sokołowskiego; z pośród strażników skazanych na 4 miesiące więzienia i pokutę kościelną, dwóch uwolnił dla dwóch zaś: Piwnina i Pietruczuka, wyrok pierwszej instancyi zatwierdził, a nadto zasądził od nich akcyę cywilną matki Sadowskiego w stosunku 36 rb. [redacted]

Szkoły i wychowanie. Kurator warszaw. okręgu naukowego polecił przełożonym zakładów naukowych, aby przy uwalnianiu uczniów od wpisów i udzielaniu zapomóg zwracano uwagę na ich pilność i postępy w naukach, oraz stan majątkowy rodziców lub opiekunów. Zdarzało się bowiem, że rady pedagogiczne przyznawały ulgi uczniom niecelującym i zamożnym. O konieczności potrzebie udzielania zasiłku uczniowi mniej zdolnemu decydować będzie kurator.

— Wychowańcom wyższych zakładów technicznych nadano prawo wykonywania wszelkich robót budowlanych.

— D. 11 kwietnia rozpoczną się w Towarzystwie pszczelniczo-ogrodniczem w Warszawie doroczne kursa pszczelnictwa połączone z nauką wyrobu miodów, win i soków owocowych. Nauka trwać będzie 4 miesiące za opłatą 30 rb. Zapisywać się mogą mężczyzni i kobiety.

— W Kownie otworzono VII-klasową szkołę han-[redacted]

— „Koło polskie" w Bernie zawiadamia, że udziela objaśnień pragnącym studyować w tamtejszych uczelniach naukowych. Adres: „Bern, Polnisches Leseverein, Gesellschaftsmuseum, Marktgasse 9."

Wiadomości naukowe. Staraniem Tow. ogrodniczego urządzone będą od d. 17 kwietnia do 12 czerwca odczyty ludowe z dziedziny sadownictwa i ogrodnictwa w Błoniu, Skierniewicach, Łowiczu i Radzyminie. Program obejmie: z sadownictwa przygotowanie gruntu do sadzenia drzew, sadzenie drzew, główniejsza robota w sadach, szczepienie i okulizacya drzew owocowych; z warzywnictwa: opis poparty okazami i rysunkami warzyw najlepszych do uprawy i najniezbędniejszych jako pokarm dla włościanina; ziemia do uprawy potrzebna i jej przygotowanie, nawozy, ogólne wskazówki co do uprawy, przechowywanie warzyw. Przytem rozdawane będą bezpłatnie szczypramí nasiona warzyw wyborowych.

Zdrowie publiczne. Dżuma szerzy się w Limie, i w Stanach Zjednoczonych; w Bombaju w ciągu kilku ostatnich tygodni zmarło 40,000 ludzi.

Literatura i prasa. Na ogłoszonym przez galicyjski Wydział krajowy konkursie fundacyi Franciszka Kochmana z pośród 25 dzieł, nadesłanych przez 18 autorów polskich, pierwszą nagrodę 2,000 koron przyznano p. Aleksandrowi Jabłonowskiemu z Warszawy za dzieło p. t. „Akademia Kijowska," oraz za dwa tomy dzieła p. t. „Ziemie ruskie," stanowiące część wydawnictwa „Polska w XVI w. pod względem geograficznym i statystycznym"; drugą, 1,000 k., p. Stefanowi Żeromskiemu za trzytomową powieść p. t. „Popioły" i za dotychczasową działalność literacką.

— Gazety hebrajskie *Hamelic* i *Hazman* przestały wychodzić.

— Jan Debrousse, paryżanin, ofiarował rentę roczną 30,000 fr. na cele literackie, artystyczne i naukowe.

Sprawy ekonomiczne. Zawiązano spółki rolne włościańskie: we wsi Susk, pow. Ostrołęckim—93 uczestników z 10-rublowymi wkładami; w Malicach, pow. Sandomierskim — 21 uczestników z 20-rublowymi wkładami; w Strykowicach, pow. Kozienickim z 13 [redacted]

Zmarli. Kazimierz Skrzyński, dziennikarz, wiceprezes lwowskiego Towarzystwa dziennikarskiego.

— Leon Wasilkowski, pedagog, b. dyrektor szkół, w Lublinie.

— Władysław Nowakowski, prawnik, b. redaktor *Gazety Sądowej*; autor i tłomacz kilku obszernych prac specyalnych.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Марта 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8